Sierpień – Wrzesień 1935

# NASZA PRZYSZŁOŚĆ

## TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XLV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Sierpień — Wrzesień 1935

# NASZA
# PRZYSZŁOŚĆ



## TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XLV



WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27

S. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, Tel. 5-87-98.
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z. o. o.

# TREŚĆ:



PRZEGLĄD POLSKO-RUSKI:



DZIAŁ BELETRYSTYCZNY:

# OSTATNI Z WIELKIEJ SZKOŁY.

Dnia 3=go lipca b. r. ciężka żałoba okryła niespo= dziewanie wydawcę Naszej Przyszłości, a rów= nocześnie całą pracę i akcję, której wydawnictwo nasze jest ośrodkiem, oraz całe myślące — napraw= dę myślące — polskie społeczeństwo. Zmarł Michał Bobrzyński, a z nim razem — wydaje się — zstąpiła do grobu wielka, mocarna, dalekosiężna myśl patrjo= tyczna, jedna z tych, które, ponad zmienne aktu= alja i przygody dnia, formują fundamenty psychicz= ne narodów i na nowe kierują je tory rozwoju.

Nic więc dziwnego, że na pierwszą wiadomość o zgonie człowieka tej miary i tej zasługi wystąpi= ła oficjalna Gazeta Polska, niezbyt wogóle przy= chylna ideologji konserwatywnej, z monumental= nym artykułem p. t. „Ostatni Stańczyk", oddając w jednem z ostatnich zdań może największy hołd Zmarłemu, jaki w dzisiejszych, szczególnych cza= sach, nawskroś zmaterjalizowanych, można komuś złożyć: „Choć piastował tyle godności, żył i umarł prawie ubogi."

A równocześnie zaroiły się we wszystkich po= ważniejszych pismach obszerne nekrologi, usiłujące ująć wyjątkową sylwetkę Zmarłego z różnych punktów widzenia. A szczególną i charakterystycz= ną cechą tych wszystkich nekrologów — tak róż= nych ujęciem, punktem widzenia i talentem pisar= skim — jest to, że pisząc o Zmarłym, wpadały pió= ra autorów, z wolą, czy mimo woli, w ton historycz= ny. Leżący przed nami zbiór tych przeróżnych wspomnień, choćby tylko dziennikarskich, robi wra= żenie fragmentów historji polskiej drugiej połowy

ubiegłego i początku bieżącego stulecia. Silą się wybitni nawet autorzy na skreślenie sylwety wielkiego Zmarłego i oddaniu Mu hołdu, ale zaraz po pierwszych zdaniach wpadają ich pióra w tok opisu niedawnych dziejów narodu. I to właśnie stanowi najwspanialsze epitafjum dla Michała Bobrzyńskiego. Pisarze, znajomi, przyjaciele lub przeciwnicy nie są w stanie oderwać biografji historycznego Męża od historji, w której przez pół wieku wybitną odegrał rolę piórem i czynem. Czują mimowoli, że podanie curriculum vitae Michała Bobrzyńskiego, wraz z tytułami Jego dzieł, z wyliczeniem osiąganych przez Niego kolejno urzędów, godności i orderów, absolutnie nie wystarcza. Można tak pisać o pierwszym lepszym dygnitarzu, ale niepodobna pisać takich nekrologów o Michale Bobrzyńskim, gdyż jest on najwybitniejszą personifikacją pewnej doniosłej epoki historycznej, jest najwybitniejszym promotorem olbrzymiej psychicznej przemiany, jaką przeszedł naród polski tuż przed wskrzeszeniem niepodległości. A wobec tak wielkich momentów, tak olbrzymiej roli i zasługi, jakżeż maleje wyliczanie największych nawet urzędowych godności Zmarłego, nawet jako byłego namiestnika i ministra dla Galicji, a więc niejako ambasadora sprawy polskiej w Wiedniu, ozdobionego przez ostatniego apostolskiego władcę monarchji austro-węgierskiej wielkim krzyżem orderu Leopolda w brylantach!

Daleko większe ma dla pamięci wielkiego Zmarłego znaczenie fakt, że w niektórych nekrologach pojawiły się słowa, iż był w istocie Nauczycielem narodu. Tak zaszczytny tytuł, który wyrwał się pisarzom niemal automatycznie z pod piór, to największa godność, najwyższy „order", złożony na piersiach Zmarłego.

Rzeczywiście bowiem był Michał Bobrzyński

bezspornie najmocniejszym przedstawicielem szkoły historyczno-politycznej, która piórem naukowem i praktycznym przykładem wzbudziła w upadłym, w apatji i mistycyźmie pogrążnym, a przez to właśnie na zatracenie skazanym narodzie wielką, nawskroś optymistyczną, ale zarazem męską, pełną tężyzny ideę trzeźwego rachunku sumienia. Najsilniej i najjaskrawiej — a może i najgłębiej — z pośród tej garści wybitnych ludzi, którzy w drugiej połowi ubiegłego wieku z murów Krakowa i z trybuny politycznej myśl tę głosili, napiętnował Michał Bobrzyński w lapidarny sposób błędy, które przywiodły i musiały przywieźć potężny ogiś naród do upadku — błędy własne narodu, a nie przemoc cudzą. Biła jednak wyraźnie z jego słów i dzieł najoptymistyczniejsza konsekwencja i nadzieja, że ponieważ nietyle siła wyższa, ile własne błędy Polskę zgubiły, to z chwilą naprawy tych błędów, a zatem psychicznego odrodzenia się i wzmożenia swej tężyzny, stanie się naród zdolnym do odzyskania i utrwalenia swej niepodległości przy najbliższej korzystnej okazji w ewolucji dziejów Europy.

Obalając mity i legendy, rzewne, zniewieściające a kłamliwe, idąc w imię prawdy dziejowej i głosząc twardą zasadę, że najboleśniejsza nawet prawda historyczna jest daleko zbawienniejszą dla narodu, niż tuszowanie błędów, apoteozowanie fałszywych ideałów i niemęskie rozczulanie się nad nieszczęściami, które anarchia lub niezdarność narodu na niego sprowadziły — stał się Michał Bobrzyński istotnie jego moralnym prawodawcą i surowym, ale skutecznym Nauczycielem. I niemasz najmniejszej już dzisiaj wątpliwości, że jeżeli naród polski w chwili tak niespodziewanego, nagłego odzyskania niepodległości wśród istnego chaosu, jakim zakończyła się wojna światowa, chwilowo nawet prawie

bez żadnej własnej siły zbrojnej (oprócz paru bata≠ ljonów Wehrmachtu w Warszawie), zdołał — nawet pod warcholskimi rządami radykalnych, bezmyśl≠ nych demagogów, jacy przez szereg pierwszych lat w imię różnych doktryn ustrój Polski klecili — zor≠ gaizować się w silne państwo ku zdumieniu przyjaz≠ nej i nieprzyjaznej zagranicy i dostarczyć Naczelne≠ mu Wodzowi armji, prawdziwie narodowej, dla po≠ bicia i odparcia nareszcie po stukilkudziesięciu la≠ tach rosyjskiego najazdu, to jest to zasługą fun≠ damentalnej nauki szkoły krakowskiej, której Mi≠ chał Bobrzyński był jednym z ostatnich, ale zara≠ zem najwybitniejszych, najbardziej konsekwent≠ nych i bezkompromisowych syntetyków. Nie od dziś wprawdzie usiłują różne karzełki inaczej rzecz przedstawiać, zasłaniając skwapliwie prawdę sztu≠ czną dekoracją wszelakiego rodzaju. Nic to nie po≠ może, skoro prawda, „oleju przyrodzenie mając" i tak zawsze na wierzch wkońcu wypłynie, a kryty≠ ka historyczna w końcu należycie ją uwzględni.

Wybitny dowód tego złożył niedługo po śmier≠ ci Michała Bobrzyńskiego prorządowy „Kurjer Po≠ ranny", jak wiadomo pismo o tendencjach radykal≠ nych, nazywając Bobrzyńskiego konstruktorem teo≠ rji silnej i sprężystej władzy, którą to teorję zreali≠ zował w Polsce Józef Piłsudski. Zarazem podnosi „Kurjer Poranny" ciekawe stwierdzenie stosunku historycznego między Piłsudskim a Bobrzyńskim. „Jakkolwiek mąż czynu stał się jakgdyby wykonaw≠ cą prognozy, wysnutej przez badacza dziejów, dro≠ gi ich nie spotkały się i nawet nie skrzyżowały ze sobą. Co więcej, Piłsudski, walcząc o Polskę, a po≠ tem o konstrukcję władzy w Polsce, nie czuł, nie wi≠ dział przy swym boku tego, którego myśl, zdawało≠ by się, powinna go była i mogła wspierać, a przy≠ najmniej mu towarzyszyć."

To pewna, że im dalej, tem bardziej niezwykła postać Michała Bobrzyńskiego będzie potężnieć, a o jego myśli i dzieła spierać się zaczną ludzie, jak to już dotąd w niektórych wypadkach nastąpiło. Nawet endecja, z którą przez całe życie walczył, uznała jednak za konieczne „schylić głowę przed Jego trumną“, jak wyraża się „Myśl Narodowa“ w jednym z lipcowych swych numerów, krytykując zresztą oczywiście ideologję Zmarłego.

A my — skupieni dokoła Naszej Przyszłości i zorganizowani w „Związku Polskiej Myśli Państwowej“, najbliżsi w rzeczywistości założeniom, metodzie i „myśli państwowej“ dawnej Szkoły Stańczyków? Jakiż hołd możemy oddać najlepiej wielkiej idei i wielkiemu Zmarłemu, który był jej najwybitniejszym przedstawicielem?

Nie nekrologiem. Bo dzieła, myśli i prace Michała Bobrzyńskiego znać winna Polska cała. Najlepszy hołd mu oddamy protestując przeciw tezie, jakoby był istotnie „ostatnim Stańczykiem“. Nie, był może ostatnim z *wielkich* Stańczyków pierwszego, niejako klasycznego okresu tej szkoły, która pod obcym zaborem na pół wieku zgórą przed wojną światową naród na spodziewany moment odzyskania niepodległości przygotowywała i wzmacniała. Ale stanowczo twierdzimy, że nie był ostatnim Stańczykiem!

Bo z Jego myśli, z Jego prac i kierunku i przykładu — jakkolwiek nie z Jego bezpośredniej ingerecji — wyrasta nowe pokolenie tej szkoły, owiane tym samym duchem i tą samą wolą pracy, oczywiście modernizując różne jej szczegóły, o ile konieczna zachodzi potrzeba w nowoczesnych stosunkach i warunkach niepodległej już Ojczyzny. Nowe to pokolenie zwolenników stańczykowskiej myśli państwowej i metody działania twierdzi,

wbrew wielu przeciwnym zdaniom, że racja bytu naukowej i praktycznej „Szkoły Krakowskiej“ nietylko nie zginęła z chwilą zmartwychwstania Polski, ale przeciwnie, tem większą jest dzisiaj i bezpośrednio doniosłą i potrzebną. Wówczas bowiem chodziło o przygotowanie narodu do niepodległości, dzisiaj chodzi o zaprawienie go w niej — o wszechstronną realizację rozpoczętego pod obcym zaborem dzieła. Polska ideowa, stanowiąca jednak realnie części składowe trzech mocarstw zaborczych, stała się teraz sama faktem realnym. A tej Polsce wiele dzisiaj jeszcze brakuje. I nikt rozumny zaprzeczyć nie może, że żaden rząd, nawet najtęższy, nie będzie wstanie wszystkiego za cały naród dokonać, a choćby nawet tylko za całą tego narodu inteligencję. Najlepsze zamierzenia rządu, największym poparte autorytetem, muszą znaleźć w odradzającej się i organizacyjnej Polsce samorzutną, oryginalnie — twórczą siłę w społeczeństwie prywatnem, która tej swojej roli i temu zadaniu odpowie. A długie doświadczenie i dotkliwe przykłady różnorodnych demagogicznych, zarozumialczych, a niedoważonych eksperymentów wykazują już aż nadto wyraźnie, że niemasz w prywatnych sferach polskiej inteligencji lepszej szkoły na dłuższą metę, jak ten zawsze żywy, wypróbowany, na głębokiej wiedzy naukowej i dużej dyscyplinie ideowej oparty kierunek państwowego myślenia i działania, jaki stworzony został przez krytyczno-historyczną szkołę krakowskich Stańczyków, która od książki szła do czynu, nawet do popierania wojennego czynu wedle sił i możności, tego czynu, który dla Ojczyzny „rzucił życia los na stos“!

Dlatego najlepszym, najtrwalszym hołdem dla pamięci Michała Bobrzyńskiego i głęboko patrjotycznej, prawdziwie państwowej idei, którą życiem

swem i pracą reprezentował i o którą na ciernistej drodze walczył, będzie z naszej strony niezłomne, żadną zmianą konjunktur niewzruszone kontynuowanie tej samej linji, wcielonej obecnie w wyraźną nazwę „polskiej myśli państwowej“, którą firmuje się i nobilituje nasz Związek i nasze wydawnictwo. A że syn Michała Bobrzyńskiego i były ostatni generalny sekretarz Stron. Prawicy Narodowej stoi od początku na czele naszego wydawnictwa i naszego Związku — gdy samo to stronnictwo zlikwidowało się przed trzema laty i rozpłynęło w innych kombinacjach politycznych o charakterze raczej konjunkturalnym, to Nasza Przyszłość i wyłoniony z niej Związek Polskiej Myśli Państwowej posiadają tembardziej stygmat bezpośredniej i nieprzerwanej kontynuacji stańczykowskiej szkoły.

A jak Michał Bobrzyński nie był konserwatystą w pospolitem, materjalistycznem tego słowa pojęciu, ale raczej wyznawcą pewnego rozumnego objektywizmu państwowego i społecznego, która to idea stanowiła właściwy spiritus vector starej stańczykowskiej szkoły, tak i my nie uznajemy się bynajmniej za knserwatystów w utartem dzisiaj, ziemiańskiem lub egoistycznie gospodarczem znaczeniu, nie chcemy niczego konserwować, co w Polsce się przeżyło, ale przeciwnie, idziemy w każdym kierunku na zdecydowane wyrąbywanie przestarzałych bram, aby otworzyć perspektywy na nowe tory. Tylko, że tory te muszą być dobrze podmurowane, z jasnym kierunkiem i celem i do pozytywnych dla państwa prowadzić muszą rezultatów, bez demagogicznych haseł, lekkomyślnych eksperymentów i bez doktrynerskiego gwałcenia praw Boskich, praw natury ludzkiej i przyrody.

I dlatego nie należy szukać nas tam, gdzie żyje i działa polityczna „konserwa“. Tam się nas, skrom-

nych, ale wiernych kontynuatorów idei stańczykowskiej, z całą pewnością nie znajdzie. Mylą się więc kapitalnie ci wszyscy, segregujący powierzchownie myśl społeczną według utartych rubryk partyjno-politycznych lub warstwowo-społecznych, którzy nas w dzisiejszym konserwatywnym obozie szukają, z nim mniejwięcej identyfikują lub traktują nas jako jego frondę. To wszystko nieprawda.

Ideologja bowiem, której hołdujemy, przenosi się stanowczo ponad doraźne, aktualistyczne, konjunkturalne podziały, pożądania i t. zw. przekonania partyjno-polityczne, zawodowe lub warstwowe. Dążenia nasze skierowane są nie na konserwowanie jakiejś poszczególnej grupy, czy warstwy, czy stanu posiadania, ale na ogólne dobro państwa i całego społeczeństwa. Jesteśmy konserwatystami o tyle tylko, że zasady religji, etyki i „zdrowego rozsądku" uważamy za niewzruszalne fundamenty i w tym zakresie żadnych konjunkturalnych kompromisów — nawet dla rzekomego dobra państwa — nie uznajemy. Nie uznajemy również zbójeckich teorji, nawet chwilowo „ustawą" przypieczętowanych, jakoby rabunek mienia jednej warstwy na rzecz drugiej, lub obywatela na rzecz państwa, mógł przysporzyć trwałych korzyści obdarowanej w ten sposób warstwie lub obdarowanemu w ten sposób państwu. Wszak to nic innego, jak tylko odebranie jednemu, a danie drugiemu — niezawsze odpowiedniemu — z niepedagogicznem pogwałceniem sprawiedliwości i praw przyrodzonych, a nie tworzenie nowych, dodatnich wartości materjalnych czy moralnych dla państwa i ogółu. W ten sposób potęga państwa i dobrobyt ani o włos nie urosną. O tyle więc jesteśmy konserwatystami. Ale pozatem z pewnością żadna partja polityczna, nawet mieniąca się najbardziej postępową i radykalną, nie zgodziłaby się na tak po-

stępowy światopogląd, jakim jest nasz, gdyż najkrzykliwsi postępowcy hołdują jednak swoim grubym interesom materjalnym, które radziby jaknajdłużej i najbezpieczniej konserwować. Postępowość ich jest postępowością na cudzej kieszeni, ale bynajmniej nie na własnej.

Dawna szkoła krakowska, niedbając o popularność i narażając się jej bez skrupułu, robiła wyłom w zakostniałej chińszczyźnie różnych pojęć, a zwłaszcza w „systemie ustabilizowanym" pojmowania spraw narodu polskiego i jego losów. My, idąc jej śladem w nowoczesnych stosunkach, nie dbamy również o popularność, o ilość naszych zwolenników, przypodobanie się możnym tego świata lub świetne zewnętrzne, snobizmem tchnące pozory. Nie zależy nam zupełnie na imponowaniu takimi środkami ani tłumom, ani inteligencji. Chcemy natomiast jak największe uczynić wyłomy w różnych upartych,stanowczo przestarzałych,a wielce dla państwa szkodliwych systemach ustabilizowanych różnych warstw społecznych, zawodowych, politycznych, a nawet naukowych, które przetrwały — egoistycznie bronione — po dziś dzień i stanowią zamurowane drzwi i okna przed dopływem świeżego powietrza. Dążymy przedewszystkiem do pociągnięcia różnych elitarnych umysłów w Polsce piórem, słowem i przykładem w kierunku realizacji szeregu ważnych państwowych i społecznych problemów i zainicjowania wśród współrodaków naszych nieznanej przedtem umiejętności i wytrwałości w rozwiązywaniu takich zadań na nieco dłuższą metę.

A to właśnie są zasadnicze cechy ruchu umysłowego i metody ujmowania zagadnień, objętej mianem Szkoły Krakowskiej. Pisać uczonych dzieł

historycznych właściwie już nie potrzebujemy, bo tę podstawę — w ogólnym, ale wystarczającym zarysie — dała nam już dawna szkoła Stańczyków, a w pierwszym rzędzie Michał Bobrzyński. Chodzi teraz głównie o budowanie na tej podstawie dzieł praktycznych, co oczywiście nie wyklucza, żeby w ich realizacji teoretyczna nauka nie miała nam towarzyszyć. Stąd też kładziemy i kłaść będziemy odpowiedni nacisk na udział w naszej akcji poważnych przedstawicieli wiedzy, ale oczywiście takich tylko, którzy szerszy, ogólno-państwowy wykazują horyzont i talent do prawdziwie oryginalnej, twórczej, samorzutnej syntezy.

Czy przez takie stanowisko, przez takie odcięcie się od konserwatyzmu dzisiejszej modły, sprzeniewierzamy się ogólnej idei zachowawczej, z której Nasza Przyszłość wyłoniła się przed pięciu laty? Bynajmniej, a nawet przeciwnie: przyczyniamy się do jej oczyszczenia, uszlachetnienia i podniesienia na platformę prądów żywotnych, zdolnych do opanowania dusz w zmodernizowanych dzisiejszych stosunkach. My wyzwalamy tę ideę z więzów egoistycznego materjalizmu, snobizmu i oportunizmu, w którym ugrzęzła w ostatnich czasach. Czerpiemy z niej to tylko, co może być twórczem i przemianowując ją na objektywizm państwowy, społeczny i gospodarczy, jesteśmy pewni, że czynimy dobrze i zgodnie z wymaganiami ducha dziejów — w myśl najrdzenniejszej ideologji Szkoły Stańczyków. Bo ta szkoła każe iść naprzód, a nie dumać i płakać na gruzach. Każe działać samodzielnie w każdych warunkach, działać dla państwa, a nie dla krótkowzrocznych interesów jakiejś warstwy, czy grupy.

Z tem postanowieniem wznosimy w sercach i umysłach naszych pomnik wielkiej postaci Michała Bobrzyńskiego, aere perennius, a chociaż stwier-

dzamy, że w niniejszem wspomnieniu i nasze pióro zeszło również z właściwego tematu oddania hołdu Zmarłemu, który tężyzną swej potężnej sylwety stał się pierwowzorem dla naszego działania, a mimowoli weszliśmy w historję, w sprawę publiczną i w formułowanie celów naszej pracy — to tylko jeden dowód więcej, że zejście z widowni prawdziwie wielkiego człowieka, ponad cały żal po jego stracie, wzbudza u pozstałych i u potomnych przedewszystkiem gorącą podnietę do kontynuowania jego dzieła wedle sił i możności.

*Redakcja.*

# POSTAĆ MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO NA TLE EPOKI.

Wielu ich było i w dawnych czasach i w ostatnich, którzy kusili się o uchwycenie i naszkicowanie potężnej i w swoim rodzaju niezwykłej w naszem społeczeństwie postaci i działalności ś. p. Michała Bobrzyńskiego. Ale mam wrażenie, że żaden z nich nie był dotąd w stanie należycie swego zamiaru wykonać, a najbliżsi mu towarzysze pracy może i nie chcieli wykonać ze względu na zbyt świeże jeszcze czasy i reminiscencje od momentu jego zgonu.

Jeżeli w tych warunkach mogę zebrać się na śmiałość nakreślenia na łamach tego wydawnictwa niejako szkicu węglem tej niezwykłej postaci, uprzedzając sąd historji i piór wytrawnych, ściśle fachowych, to dlatego, że głębokie mam przekonanie, iż właśnie ten sąd historji i piór wytrawnych trzeba w tym szczególnym wypadku koniecznie uprzedzić. Widzę bowiem wyraźnie z tego, co w ostatnich paru miesiącach więksi i mniejsi o ś. p. Michale Bobrzyńskim już napisali, że znają wprawdzie, aczkolwiek nieraz dość pobieżnie, jego pisarską i publiczną działalność, ale przeważnie nie znają jego samego i zgoła niedokładne nieraz o nim, jako o człowieku i Polaku, wydają sądy.

Wyrozumiewam to zresztą po ludzku, gdyż niezmiernie trudnem jest zgłębić i uchwycić charakter mocnego człowieka i wybitnego męża stanu — w innem świetle występujący na forum publicznem, a w całkiem nieraz innem w życiu domowem lub w gronie swych najbliższych, a więc w momentach,

kiedy naprężona energja i postać człowieka pracy publicznej, jakby ze śpiżu ulana, odpręża się chwilowo, dla niezbędnego wypoczynku i gdy wówczas pod stalowym pancerzem męża stanu, łamiącego przeszkody, ukazuje się w całej pełni uczucie, romantyzm i serce.

Bobrzyński — prawili i prawią powszechnie — to twardy człowiek i wielki realista, to natura szorstka, poniewierająca ludźmi, charakter i rozum apodyktyczny, pewny siebie, pewny swego niepospolitego talentu!

Tak przedstawiał się Michał Bobrzyński uczniom, jako profesor-egzaminator, podwładnemu korpusowi nauczycielskiemu w Galicji, jako kierownik Rady Szkolnej, w salonach, jako ekscelencja, za którym stał nietylko rząd wiedeński, ale przedewszystkiem cała rodzina cesarska z monarchą na czele, potem całemu społeczeństwu w Galicji, jako wszechwładny Namiestnik i minister dla Galicji. Takie wieści szły o nim także do rodaków w innych zaborach.

Ale z pewnością bardzo niewielu miało szczęście i sposobność poznać lepiej Michała Bobrzyńskiego, jako człowieka bez złoceń mundurowych i orderów, jako jednego z najgłębszych patrjotów polskich nowszych czasów, któremu śpiżową postać narzucały niezmiernie trudne, zewnętrzne warunki piastowanych dostojeństw i polskiego życia pod tym jedynym obcym zaborem, gdzie to życie polskie, z ciężkim trudem stopniowo zdobywane, jako tako mogło się rozwijać — ale który poza areną publiczną odsłaniał niespodziewane głębie uczucia, serca i niezmiernie nieraz subtelnego, choć zawsze zdecydowanego ujmowania rzeczy. Danem mi było poznać Michała Bobrzyńskiego z tej także strony i dlatego to właśnie chwytam za pióro, aby pod

tym względem zawczasu rozjaśnić formujący się o wybitnym człowieku sąd historji.

Niechże więc ta historja dowie się najpierw, że ten w sprawach publicznych żelazny, dla siebie i dla drugich na arenie oficjalnej twardy i apodyktycznie zdecydowany człowiek, który całym sferom społeczeństwa, całym partjom politycznym, nie wyłączając własnego stronnictwa, a nawet najpotężniejszym czynnikom rządzącym wiedeńskim umiał śmiało się przeciwstawić i sam jeden o zasady swe i przekonania walczyć, bez śladu oportunizmu, rzucając każdej chwili ludziom swą dymisję pod nogi, jeżeli opierano się jego programowi i woli — tenże sam Bobrzyński był w istocie miękkim wobec ludzi, jako swoich bliźnich. Mało znam wybitnych polityków i wogóle głośniejszych ludzi życia publicznego, którzyby tyle zawiedzionych ufności w bliźnich swych pokładali, takiej czarnej, nieprzyzwoitej niewdzięczności doznawali od różnych swych przyjaciół wzamian za wyświadczone im dobrodziejstwa, tyle razy od najbliższych, osobistych przyjaciół lub zwolenników byli haniebnie zdradzani.

Michał Bobrzyński nigdy, ani na chwilę, nie żywił do tych ludzi uczucia nienawiści, czy zemsty, choć nieraz miał możność swobodnie jej dokonać. Przeciwnie, w pamięci stoi mi zdarzenie, któremu równego nigdy więcej nie widziałem, ani o podobnem nigdzie więcej nie słyszałem.

Oto jeden z polityków, bliskich Bobrzyńskiemu przekonaniami i oświadczający mu się zawsze z wylewną przyjaźnią, gdy chodziło o zdobycie jakiegoś bardzo wysokiego stanowiska i wymieniano jako kandydata na nie Bobrzyńskiego, chcąc usunąć zgóry tę dla siebie przeszkodę, szkalował Bobrzyńskiego w kraju i w Wiedniu podstępnie, ile tylko mógł, wysuwając przytem oczywiście swą kandyda-

turę. Intryga powiodła się, a powiodła się tem łatwiej, że sam Bobrzyński o stanowisko to — swoim zwyczajem — osobiście nie zabiegał i wspomniany machiawelski przyjaciel zasiadł na owym dygnitarskim fotelu, nie robiąc sobie żadnego skrupułu z ciężkiej krzywdy, jaką w sposób perfidny wyrządził nietylko karjerze Bobrzyńskiego, ale przedewszystkiem jego dobrej sławie.

W szereg lat potem pan ten, ustąpiwszy dawno z tak niemoralnie zdobytego urzędu, starał się o inne stanowisko. A ponieważ Bobrzyński był wówczas już Namiestnikiem i stał u szczytu swej potęgi, ciesząc się wielkiem zaufaniem zarówno w Galicji, jak i w Wiedniu, więc zwrócono się do niego najpoufniej o opinję, czy nie ma nic przeciw temu, aby owemu panu powierzone zostało stanowisko, czy godność, o którą zabiegał. Bobrzyński mógł jednem słowem dyskretnie swego wroga wywrócić i to tak, żeby tamten nie wiedział, kto niekorzystną wydał o nim opinję. Uczynił jednak przeciwnie — dopomógł swemu zdrajcy do osiągnięcia celu jego starań i to w taki sposób, żeby się przeciwnik nie dowiedział, komu to zawdzięcza. A gdy ktoś bardzo bliski ze ździwieniem zapytał Bobrzyńskiego, dlaczego aż tak dalece, tak subtelnie odpłaca swemu osobistemu wrogowi dobrem za złe, odpowiedział:

— Bo właśnie wyższym stopniem szlachetnej zemsty jest robić nieprzyjacielowi dobrze, ale tak, aby on nawet nie wiedział, że mu się dobrodziejstwem odpłaca.

Aby wznieść się na tak wysoki poziom samozaparcia się i etyki, trzeba być istotnie nieprzeciętnym człowiekiem!

A iluż miał „przyjaciół“ lub chwilowych adherentów i to z poważnych sfer społeczeństwa, którzy niemal dosłownie do nóg mu się kłaniali, gdy był

u szczytu władzy, prosząc o spełnienie jakichś ich gorących życzeń, zadowolenie ambicji, wyrobienie stanowisk, odznaczeń, ba, nawet tytułów rodowych! Iluż ludzi, których uważał za godnych i wskazanych, promował wpływem swym, oficjalnym lub nieoficjalnym, na bardzo wysokie godności! A jakąż czarną niewdzięcznością odpłacali mu się wkrótce potem ci wszyscy i to — dać należy świadectwo prawdzie — bez żadnego istotnego powodu, pod pretekstem nieraz widocznie naciąganym, a właściwie dlatego, że ich paliła zazdrość, iż temu dobroczyńcy coś zawdzięczają. Rzec można, że na Michale Bobrzyńskim w wielu wypadkach sprawdzało się przysłowie: Od przyjaciół chroń mię, Panie Boże, bo z nieprzyjaciółmi dam sobie radę!

A jak reagował wielki Zmarły na ułomności ludzkie tego rodzaju, któreby przeciętnego, mniej uduchowionego człowieka do żywego mogły wzburzyć i wieczną nieprzyjaźń między nim a takimi niewdzięcznikami wykopać? Nie reagował zupełnie, ból i zawód zamykał w sobie, a gdy tylko do niego się zwrócili, pierwszy wyciągał rękę, jakby nic nie zaszło, puszczając krzywdę swą w niepamięć. A ciężko to było nieraz uczynić. Wszak pamiętamy dobrze tę chwilę, kiedy Michał Bobrzyński, głęboki katolik i głęboki patrjota — tylko nie traktujący religji, ani patrjotyzmu hasełkowo, na pokaz, jak to mówią: po tromtadracku — uchodzić musiał z kraju na dłuższe wygnanie zagranicę, bo perfidja galicyjskiej narodowej demokracji, poruszając z osobistej do niego nienawiści bez skrupułu wszelkie sprężyny, rzuciła na niego oszczercze oskarżenie, jakoby w projekcie sejmowej reformy wyborczej, nad którą od lat w porozumieniu z najpoważniejszymi ludźmi i gorliwymi katolikami pracował, rzekomo zbyt wiele mandatów zapewniał żywiołom radykalnym i Rusinom.

Niebywale perfidnemi pociągnięciami, nie bacząc wcale na istotne dobro kraju, a ziejąc tylko ślepą ku Bobrzyńskiemu nienawiścią, potrafiła narodowa demokracja wbić chwilowo — coprawda na bardzo krótką tylko chwilę — w mózgi ludzkie, że Bobrzyński działa tu wbrew zasadom religji i z tego tytułu podniecić przeciw niemu różne w kraju czynniki. Aby nie dać nawet pozoru walki religijnej — choć naprawdę rzecz cała nic a nic wspólnego z religją nie miała i mieć nie mogła — widział się Bobrzyński w przekonaniu swem moralnie zmuszonym cofnąć swój po ciężkiej pracy i walkach z różnemi stronnictwami uzgodniony projekt, złożyć wszelkie dostojeństwa i wyemigrować na rok zagranicę.

A przecież projekt reformy wyborczej Bobrzyńskiego daleki był w swym konserwatyźmie o sto mil jeszcze od tego, na powszechnem, bezkrytycznem głosowaniu opartego ustroju, który bez żadnego protestu przyjęła sobie w kilka lat potem Polska niepodległa. Co więcej, w rok później te same czynniki polityczne, które perfidnym i oszczerczym ostracyzmem skazały moralnie Bobrzyńskiego, jakgdyby nowoczesnego Arystydesa, na wygnanie, uchwaliły dla Galicji reformę wyborczą, niemal identyczną z projektem Bobrzyńskiego, z tą tylko osobliwą różnicą, że jeszcze więcej dały w niej miejsca żywiołom radykalnym, antyreligijnym, a nadto Rusinom, chociaż rzekomo właśnie dlatego Bobrzyńskiego wygnano, piętnując go jako przeciwnika religji i sprawy narodowej.

Proszę wyobrazić sobie cały rozmiar i głębię tego absurdu, tej szatańskiej nienawiści, a zarazem tragedję najwierniejszego, nieprzeciętnie utalentowanego syna ojczyzny i syna Kościoła, który, położywszy wielkie zasługi i okrywszy sławą polską naukę, przy końcu swej niemal półwiekowej pracy dla

kraju musiał poprostu uchodzić z niego, obarczony takiem piętnem! Rzecz to istotnie wołająca o pomstę do Nieba!

Bobrzyński zniósł tę niesłychaną krzywdę spokojnie i nigdy potem nikomu ze swych wrogów nawet najskromniejszego nie zrobił zarzutu. A gdy znowu ktoś bliski raz go o to zagadnął, dlaczego z takim filozoficznym spokojem tę krzywdę przyjmuje, odpowiedział:

— Bo widocznie nie wiesz jeszcze, co to jest poddanie się woli Bożej!

A kiedy w pierwszej chwili niespodziewanego odzyskania całkowitej niepdległości państwa, zakłopotana z dojścia do władzy i do rządów realnych państwem narodowa i radykalna demokracja odsunęły Michała Bobrzyńskiego od wszelkiego bliższego udziału w sprawach publicznych tej Ojczyzny, dla której w galicyjskim Piemoncie tak długo i skutecznie pracował, ale zato wezwały go — w poczuciu własnej nieudolności — do Warszawy, aby opracował kompletny projekt konstytucji, to Bobrzyński, chociaż dobrze przewidywał, że panująca wówczas endecja wraz z socjalizmem i ludowcami wrzucą wszelki jego projekt do kosza bez słowa nawet podziękowania, jednak bez sekundy namysłu przybył do Warszawy i w przeciągu kilku tygodni oddał gotowy projekt do rąk ówczesnemu prezydentowi ministrów, Ignacemu Paderewskiemu. W patrjotyźmie swym i w wysokiem poczuciu etycznem osądził, że nie można odmówić żadnemu wezwaniu Ojczyzny, choćby praca jego zgóry była daremną i czas stracony. Bojkotu Polski nie uznawał, nawet pod reżimem najgorszych swych przeciwników, chociaż przepowiadał, że rządy endeckie doprowadzą kraj do anarchji.

Gdy z pierwszą chwilą ucieczki zaborców i ogłoszenia radykalnych rządów ludowych w kraju zebrali się konserwatyści krakowscy w licznem gronie na naradę, rozpaczając, co teraz będzie z Polską, skoro władzę chwycili w ręce chwilowo socjaliści, w Krakowie rządzi suwerennie Daszyński, a w Warszawie prezydjum rady ministrów objął Moraczewski, wówczas Bobrzyński wstał i powiedział:

— Więc cóż z tego? Jeżeli socjaliści polscy biorą na siebie odpowiedzialność rządzenia państwem, to powinniśmy z nimi dla państwa współpracować, a nie uciekać!

W tem zdaniu oddał głęboką myśl starej szkoły Stańczyków, która pracę dla państwa postawiła sobie za cel, bez względu na chwilowe konjunktury, nawet przeciwne. Uważał, że właśnie dlatego, iż następuje epoka rządów radykalnych, eksperymentatorskich, trzeba tem bardziej, aby ludzie rozumu i doświadczenia starali się zaważyć na prawo w takim reżimie według sił i możności, zamiast kapitulować i pozostawiać Polskę bez choćby nielicznej, ale wiedzą i przekonaniem silnej placówki, w której znalazłby oparcie i dyrektywę każdy, kiełkujący gdzieindziej zdrowy rozsądek, a nawet sam rząd demagogiczny, gdyby uznał czasem za niezbędne szukać gdzieś umiarkowanej, fachowej rady.

A to wszystko myślał, mówił i robił człowiek, który doskonale wiedział, że w danych warunkach, jakie się w odrodzonej Polsce wytworzyły, absolutnie niczego dla siebie spodziewać się nie może, nawet jakiegoś moralnego wyrazu uznania. Podobnie postąpił, gdy wzywany był, jak prawdziwy Cyncynnatus, od pługa dla kierowania projektem reformy administracji i do wypowiedzenia opinji o najnowszej Konstytucji. Zrobił swoje i — wrócił do pługa, któremu, obok świetnych prac naukowych, na sta-

rość się poświęcił, aby do ostatniej chwili życia niestrudzenie działać, aby nie być weteranem „w stanie wygodnego spoczynku“.

Ale raz w życiu widziałem Michała Bobrzyńskiego, jako zupełnie innego człowieka, niż tego, którego znali najbliżsi nawet znajomi. Było to latem 1915-go roku w Opawie na Śląsku.

Przebywał tam Bobrzyński z rodziną, przeniósłszy się chwilowo z Krakowa, jako ewakuowanej twierdzy, której groziło oblężenie. Przewidywał bowiem, nie bez racji, że Moskale w razie zajęcia Krako wa napewno zaaresztują go i wyślą z rodziną gdzieś na Syberję, jako znanego przeciwnika Rosji i wszyst kiego, co rosyjskie lub moskalofilskie. Ale Moskale byli wtedy już odparci, pod Gorlicami złamani i armje sprzymierzone ścigały ich, zmuszając do ustępowania coraz więcej z ziem polskich. A równocześnie rodziła się w aureoli bohaterstwa historja Legjonów, idących w pierwszych szeregach i znaczących swój pochód czynami, które w zdumienie i zakłopotanie wprawiały komendy armji austro-niemieckich.

Widziałem wówczas Bobrzyńskiego po raz pierwszy we łzach — prawdziwych męskich łzach radości — odczytującego głośno biuletyny i opisy walk legjonwych i tryumfalnego wkraczania ułanów polskich do miast w Kongresówce, gdzie, jak np. w Lublinie, obsypywano ich kwiatami. A gdy przyszła wiadomość o wzięciu Warszawy — niestety chwilowo przez Niemców, ale bądź co bądź zawsze ustąpieniu z niej od wieku osiadłego tam głównego zaborcy — to ku zdumieniu wszystkich obecnych, najbliższych, Michał Bobrzyński kazał przynieść szampana i wzruszonym głosem wzniósł kielich na „wypędzenie Moskali z Warszawy“. Zdumieliśmy się wszyscy, bo fundowanie szampana w radosnem podnieceniu było gestem, zupełnie nieznanym u czło-

wieka tej miary i tej powagi. Bobrzyński był w tej chwili niepodobnym do samego siebie, do tego żelaznego człowieka, nie znoszącego, nawet w poufalszem gronie, żadnych rozczuleń, a tem mniej szampanowych toastów!

A przecież był to wówczas jeszcze dostojnik „austrjacki“, który niezadługo potem mianowany został ministrem dla Galicji, coprawda ze specjalnem zadaniem opracowania dla niej nowego statutu szerokiej autonomji......

W tem miejscu nie od rzeczy będzie przerwać chwilowo tok naszych wspomnień i wtrącić nawiasem parę słów lapidarnych o tak zwanym austrofiliźmie, czy austrolojaliźmie, czy jak tam to różni nasi tromtadraci narodowi, różni expost-prorocy i expost-bohaterzy nazywają. Nie będzie od rzeczy raz dlatego, że temat ten łączy się w pewien specjalny sposób z działalnością i postacią Michała Bobrzyńskiego, a po wtóre, że ostatni już czas, aby sprawę tę, przez perfidną politykę moskiewską w mózgi ostatnich pokoleń naszych rodaków w b. zaborze rosyjskim wkuwaną, a potem bezkrytycznie przez te pokolenia powtarzaną ku wielkiej uciesze rosyjskich czynowników w prywislinskich guberniach, raz nareszcie wyjaśnić i wyplenić.

Bobrzyński, jak zresztą w ogólnym zarysie cała szkoła krakowska i wyrosłe na niej stronnictwo polityczne, łączył w sobie niezbędny dla męża stanu realizm z wysokim romantyzmem, oczywiście w pewnem tylko tego słowa znaczeniu. Romantyzm ten, aczkolwiek pozbawiony wszelkiej głośnej lub poetyckiej reklamy — która, jak dobrze wiadomo, stanowi wybitną cechę, a raczej przywarę romantyzmu wogóle — tkwił w samem założeniu oraz ideowym celu szkoły krakowskiej: przygotowywania narodu polskiego na mający nastąpić *niewątpliwie*, prę-

dzej czy później, moment odzyskania niepodległości. Była to, szczerze mówiąc, w ówczesnem położeniu, a przedewszystkiem przygnębieniu narodu polskiego myśl w istocie daleko więcej romantyczna — zwłaszcza wobec kolsalnie rosnącej potęgi militarnej zaborców i wobec definitywnie Polakom okazanego désinteressement niby sympatyzujących z nami mocarstw zachodnich — niż wszelkie hałaśliwe, jałowo=polityczne, smętno = patrjotyczne śpiewki i bezsilne wymachiwanie białoamarantowemi chorągiewkami w czasie dozwolonych przez policję patrjotycznych obchodów. Realizm zaś polegał tylko na poważnym, na dłuższą metę przemyślanym wyborze konkretnych metod i sposobów, zarówno naukowych, jak i politycznych, których stosowanie mogło prowadzić realnie do osiągnięcia kiedyś, w odpowiednio korzystnej dla Polaków konjunkturze, niepodległościowego celu.

Tak więc mylą się często zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy szkoły krakowskiej, nazywając ją raz zbyt pesymistyczną i zbyt realistyczną, to znowu zbyt romantyczną i oportunistyczną, gdyż w rzeczywistości w rdzennej szkole krakowskiej, a zwłaszcza w osobie i działalności Michała Bobrzyńskiego, zharmonizowany był odpowiednio realizm z romantyzmem, tak, jak tego wymagała sama istota niepodległościowego celu.

Realistyczna strona zadania, bez której najwznioślejsze idee musiałyby się kończyć na frazesach i przegraniu sprawy narodowej pod zgodnym naciskiem germanizmu i rosyjskości, musiała znaleźć konkretną podstawę w jakiemkolwiek zabezpieczeniu choćby pewnemu tylko odłamowi narodu polskiego — skoro to dla całości było niemożliwem — spokojnego i w granicach możliwości niezależnego

rozwoju, najpierw polityczno-psychicznego, następnie administracyjnego, oświatowego i gospodarczego (w tym ostatnim względzie na własnym, nie na cudzym opartego kapitale i inicjatywie). Wszystko to, razem wzięte, możliwe było wówczas tylko pod zaborem austrjackim. Z trzech bowiem zaborców, realnie biorąc, Austrja była najsłabszą, a nadto złożoną z kilkunastu narodów, z których aspiracjami i dążeniami mniejszość niemiecka coraz bardziej musiała się liczyć i coraz większą przyznawać im autonomję. Tymczasem bardziej jednolite kolosy niemiecki i rosyjski z garścią zamieszkujących je Polaków liczyć się wcale nie potrzebowały i dlatego bez skrupułu coraz bardziej dążyły do ich narodowej eksterminacji, którą ułatwiały sobie przyzwyczajaniem Polaków do wielkiego dobrobytu, szerokiego życia prywatnego, a Niemcy nadto narzuceniem wielkiej dyscypliny państwowej i rzeczywiście wysokiej kultury. Stąd też jedynie tylko w Galicji usiłowanie uzyskania czegoś dla Polaków kosztem pewnej ugody mogło mieć realne widoki powodzenia, gdy w obu innych zaborach nie miało żadnych widoków i było tylko łudzeniem samego siebie, narażonem raz po raz na oczywiste, srogie rozczarowania.

Stąd też niewolno za jednym tchem wymawiać i na tej samej platformie stawiać wyrazów: austrofilizm, germanofilizm i rusofilizm, względnie ugodowość wobec wszystkich trzech zaborców. Te dwa bowiem ostatnie wyrazy, germanofilizm i rusofilizm, nie mogły oznaczać niczego więcej, jak tylko ostatecznej, beznadziejnej w skutkach kapitulacji narodowej i bezcelowego poniżenia się polskości wobec dwóch przemożnych i brutalnych zaborców, dla których racji stanu kwestja polska nie miała już żadnego znaczenia.

Całkiem inne znaczenie miało wyrażenie „austrofilizm", oczywiście w pewnem, konkretnie określonem znaczeniu. Wobec olbrzymich kłopotów narodowościowych centralnego rządu wiedeńskiego, a w dodatku przy zatwierdzonym ostatecznie w 1867 podziale państwa Habsburgów na dwa, niemal całkiem odrębne twory państwowe, Austrję i Węgry, za czem musiała pójść w nieuchronnej konsekwencji pewna autonomizacja także narodów resp. krajów, wchodzących w skład właściwego cesarstwa austrjackiego, mogło i musiało zależeć nietylko rządowi wiedeńskiemu, ale w pierwszym rzędzie samej dynastji Habsburgów na pozyskaniu sobie za pewną cenę wiecznie za niepodległością tęskniących Polaków, których ilość wynosiła bądź co bądź około dwadzieścia procent ludności właściwego cesarstwa.

Zdając sobie więc rozumnie i realnie sprawę z tego stanu rzeczy, zawarli konserwatyści galicyjscy ze stronnictwem krakowskiem na czele — a w ślad za nimi stopniowo mniej więcej całe społeczeństwo polskie w Galicji — umowę dwustronną z cesarzem austrjackim na wyraźnej zasadzie do ut des. Umowa ta kulminowała w tem, że Polacy galicyjscy zrzekają się w danych warunkach konstelacji europejskiej taktyki zbrojnych powstań i wichrzeń przeciw Austrji, wzamian za uzyskanie władztwa w Galicji, usunięcia z niej systemu germanizacyjnego i całkowitą jej polonizację wraz z daleko posuniętą autonomją, za wyjątkiem wspólnej z całą monarchją austro-węgierską organizacji wojskowej, za którą Polacy sami się opowiedzieli, słusznie obawiając się, że nacjonalizcja wojska w poszczególnych krajach austrjackich osłabi jeszcze bardziej siłę militarną państwa, a przez to samo wzmocni nadmiernie Prusy i Rosję wobec Austrji i wobec otwierają-

cych się widoków rozwoju narodowego Polaków w Galicji.

Umowa ta, szczerze mówiąc, dawała Polakom wszystkie korzyści, a żadnej straty, nie wymagała od nich właściwie żadnego zaparcia się, ani zrzeczenia. Bo przecież i tak jasnem było, że Polacy zbrojnego powstania, ani nawet jakichkolwiek skutecznych spisków w danych warunkach robić już nie mogą. Minęły przecież już czasy, kiedy można było porywać się na armaty z kosami. Dlatego Stańczycy, zrzekając się wobec cesarza austrjackiego popierania ideologji walki zbrojnej, zrzekali się właściwie tylko reminiscencji nieaktualnego już w ówczesnych warunkach fantomu, a więc — niczego! Za tę zaś historyczną już i nieaktualną miskę soczewicy, podaną na wytwornym półmisku cesarzowi, zyskiwali Polacy olbrzymie korzyści: całkiem swobodny w Galicji rozwój narodowy, kulturalny i administracyjny — w którym tak zawsze brakło wyrobienia Polakom w dawniejszych czasach — przy równoczesnem zupełnem odgermanizowaniu Galicji i oddaniu jej rządów faktycznie w ich ręce i uniknięciu jej podziału na część polską i ruską, co było dawniej zamiarem austrjacko-niemieckiej biurokracji. Wreszcie ugoda ta pozwoliła Polakom zająć wiele stanowisk wybitnych w centralnym rządzie wiedeńskim, nawet ministrów spraw zagranicznych i ambasadorów, a wkońcu obsadzać niemal stale wybitnymi skarbowcami lub ekonomistami polskimi stanowiska austrjackiego lub wspólnego austro-węgierskiego ministra skarbu (Dunajewski, Korytowski, Biliński) i utrzymywać w austrjackiej radzie ministrów stałego „ambasadora“ w osobie ministra dla Galicji, reprezentującego sprawę nietylko Polaków galicyjskich, ale nieraz polską wogóle.

Polityka ta mądra, przewidująca i olbrzymim

realnym uwieńczona rezultatem, zainicjowana i prowadzona przez Stańczyków krakowskich, da się porównać zaiste chyba tylko z krótkim okresem podobnie wielkiej i skutecznej polityki panów krakowskich z końca XIV-go wieku, którzy przez doprowadzenie do skutku małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą położyli podwaliny prawdziwie mocarstwowego rozwoju państwa na następne dwa wieki. Polityka ta i jej rezultaty, budując w Galicji prawdziwy Piemont polski, stworzyły nadto nowe, a tak wówczas niezbędne ośrodki — najpierw Kraków, potem także Lwów — skupiające na nowo ideę narodową polską i potężny ruch umysłowy ze wszystkich zaborów, które bez tego byłyby, mimo wszelkich patrjotycznych marzeń i porywów, uległy bezspornie stopniowemu wynarodowieniu, przynajmniej w znacznym stopniu. Wszak byliśmy świadkami, jak z początkiem wojny światowej potęga militarna i kulturalna Niemiec imponowała — mimo Wrześni i wozu Drzymały — tamtejszym Polakom, a potęga, bogactwa i łatwość życia ekonomicznego Rosji Polakom z moskiewskiego zaboru! A cóż dopiero byłoby, gdyby przedtem, przez pół wieku zgórą, nie byli mieli ci Polacy z dwóch zaborów silnej ostoi narodowej i kulturalnej w napół autonomicznej Galicji!

Do polskich szkół wyższych i średnich ściągała tłumnie młodzież z innych zaborów, nawet z dalekich kresów wschodnich, czerpiąc polskość z czystej krynicy, biorąc udział w swobodnych obchodach narodowych, których żaden żandarm nie hamował, choćby już dlatego, że cała żandarmerja w Galicji była polską. A wielu szczególnie utalentowanych Polaków z innych zaborów osiadało nawet na stałe w Galicji, zajmując stopniowo wybitne stanowiska urzędowe i naukowe (Małecki, Ćwikliński, Kazimierz Morawski, Józef Milewski, Korytowski i t. d.).

Kłuło to oczywiście bardzo w oczy rząd pruski, a jeszcze bardziej krzyżowało rusyfikacyjne plany rządowi rosyjskiemu. Ten ostatni, widząc coraz wyraźniej, że część Polski — i to właśnie przeważna jej część — pozostająca pod jego zaborem, zamiast zwolna się rusyfikować pod wpływem nahajki z jednej, a złotego rubla z drugiej strony, jak Anteusz odradza się wciąż narodowo pod wpływem swobodnej polskiej szkoły i myśli, promieniującej z Galicji, jął się perfidnej, a z wielką systematycznością wdrożonej taktyki zohydzania Galicji w oczach Polaków w rosyjskim zaborze, licząc na łatwowierność i daleko już posunięte zmaterjalizowanie tamtejszego społeczeństwa polskiego. W imię prawdy dziejowej przyznać trzeba ze smutkiem, że ta machiawelska taktyka powiodła się w bardzo znacznym stopniu rosyjskim autokratom i czynownikom: ludność z Kongresówki, a poczęści także i Polacy, we wschodnich guberniach zamieszkali, dali wbić sobie w mózgi samobójczą dla nich samych pogardę dla tej jedynej prowincji polskiej, w której polskość mogła swobodnie się rozwijać, a nawet swobodnie krytykować wszystkie rządy zaborcze, nie wyłączając austrjackiego, z jednym jedynym wyjątkiem — zachowania umówionego szacunku dla cesarza i dynastji habsburskiej. Ta więc perfidna, a wyśmienicie świadoma swych celów polityka rosyjska, pokutująca we wskrzeszonej Polsce po dzień dzisiejszy z siłą dynamicznej inercji, sprawiła, że zahipnotyzowani nią Polacy z dwóch innych zaborów, skazani niegdyś przez oba rządy (i oba narody!) na stopniową, zupełną zagładę, z niewytłumaczalną logicznie pogardą odnosili się i w znacznym stopniu dziś jeszcze odnoszą się do tych wszystkich olbrzymich zdobyczy narodowych, które Galicja pod wodzą mądrej szkoły Stańczyków zdobyła w żmudnej pra=

cy i wśród wielkich nieraz zmagań na rządzie austrjackim na rzecz polskości.

Zaprawdę, ostatni już czas, aby wobec trumny ostatniego z tych wielkich, a prawdziwie skutecznych bojowników o sprawę polską w Galicji — a w konsekwencji i o odrodzenie całego narodu — otworzyć wreszcie oczy na prawdę, wyrzucić z umysłów resztki moskiewskiej intrygi i na gruncie wskrzeszonej Polski uznać objektywnie wielką rolę Galicji w podtrzymaniu, odrodzeniu i wzmocnieniu polskości, a w tej Galicji pierwszorzędną, olbrzymią w tym względzie zasługę krakowskiej szkoły historycznej i wyrosłego z niej stronnictwa Stańczyków. Jest to dzisiaj — przynajmniej dzisiaj — wprost obowiązkiem narodu w imię uratowania swej zdrowej myśli patrjotycznej i honoru, bo inaczej drwić z nas będą obcy historycy i mężowie stanu, że ulegliśmy biernie a bezmyślnie moskiewskiej intrydze i zamiast wznieść na należny piedestał, obniżamy to w oczach własnych i cudzych, co dało właściwy a skuteczny impuls do odrodzenia Polski i tężyzny narodowej!

Na tem tle występuje dopiero we właściwem oświetleniu tak zwany austrofilizm stronnictwa Stańczyków, który w istocie swej nie był podyktowany żadną miłością dla Austrji, ani żadną żądzą karjery, ale najoczywiściej i najlogiczniej myślą opanowania Galicji dla polskości przy równoczesnem — i to bardzo skutecznem w rezultacie — częściowem opanowaniem Wiednia dla tem trwalszego zabezpieczenia rozwoju polskości w Galicji, a przez to pośrednio także i w innych zaborach. Bo przecież nikt rozumny, wyzwolony z pod narkozy moskiewskiego machiawelizmu, zaprzeczyć nie może, że owe słynne „złote kołnierze“ na mundurach polskich starostów i wyższych polskich dygnitarzy w Galicji lub nieprzerwane sprawowanie różnych tek ministerjal-

nych przez Polaków, nawet teki spraw zagranicznych całej monarchji, były kolosalną zdobyczą i korzyścią nietylko dla Polaków galicyjskich, ale i dla całej Polski. Wszak bez zawarcia ugody Stańczyków z cesarzem byłoby to wszystko przypadło w udziale niemieckim biurokratom wiedeńskim i — co jeszcze gorsze — zniemczonym biurokratom czeskim, którzyby całą Galicję planowo germanizowali, a wschodnią jej część nadto ukrainizowali w myśl metternichowskiej zasady divide et impera.

To dzisiaj już każde dziecko polskie dobrze powinno rozumieć!

I na tem tle również wyrasta potężna, niepowszednia postać Michała Bobrzyńskiego najwybitniejszego i najbardziej „stuprocentowego" ze Stańczyków, w którym idea stańczykowska — a więc idea realnej Naprawy Rzeczypospolitej — najwyższy i najkonsekwetniejszy znalazła wyraz. Bobrzyński bowiem, syntetyzując ideologję swych poprzedników i nadając jej pewną lapidarność, której brakło poprzednio, stworzył jednolite, jakby ze śpiżu ulane dzieło przeszło półwieczną swą pracą i niepospolitym talentem, poczynając od pomnikowej pracy historyczno-naukowej, a kończąc na wielkiej praktyce sprawowania najwyższych urzędów, na których czynnie przygotowywał — w miarę ówczesnych możliwości — także i dzieło materjalnego wskrzeszenia Polski, wydając konsekwentną walkę penetrującej ze wschodu rusyfikacji Galicji i popierając, jako Namiestnik i później jeszcze — organizację legjonów i działalność Józefa Piłsudskiego, w proroczem jakgdyby przewidywaniu ich późniejszej roli, o której wówczas ani w Galicji, ani w innych zaborach, poza izolowaną od społeczeństwa garścią niepodległościowców, nikomu na serjo nawet się nie śniło. Wiemy z obszernego listu jego sy-

na, wydawcy niniejszego pisma — wystosowanego w pewnej okoliczności niedawno do krakowskiego Ilustrowanego Kurjera Codziennego, jak jedno zdecydowane słowo Michała Bobrzyńskiego, w stanowczej wypowiedziane chwili, zaważyło na szali Legjonów. W momencie, gdy cesarz Franciszek Józef pod wpływem różnych sprzecznych informacji i sugestji ze strony wojskowych, polityków, a niestety także i pod wpływem zaciekle moskalofilskich, endeckich protestów z pewnych sfer galicyjskich, wahał się z decyzją, czy uznać legjonistów za równouprawnionych kombatantów i spowodować zaopatrzenie ich w nowczesną broń i inne wojskowe przybory, których tak im wówczas brakło i zwrócił się w zaufaniu do Michała Bobrzyńskiego, do którego zdania wielką zawsze przykładał wagę, ten odpowiedział krótko: „Dać“! A przecież, jako legitymista i psychologiczny przeciwnik wszelkich hazardowych porywów, mógł był inną dać odpowiedź, zwłaszcza, że porywowi Legjonów przeciwnych było wielu poważnych, legitymistycznie usposobionych Polaków we wszystkich zaborach, którzy nie ze złej woli, ale na podstawie przemądrze wykalkulowanych argumentów politycznych, zalecali współrodakom wygodną politykę wyczekiwania wypadków, a zbrojny poryw Józefa Piłsudskiego uważali za niebezpieczny hazard i „marnowanie kwiatu młodzieży“.

Michał Bobrzyński, jakkolwiek człowiek niezmiernej powagi i wielki realista, zdecydowany przeciwnik wszelkiej „patrjotycznej tromtadracji“, przyzwyczajony do całkiem innego rodzaju pracy dla kraju, żyjący na platformie „dygnitarskiej“, zrozumiał w tej epoce, a nawet wcześniej jeszcze, że godzina dla zbrojnego czynu Polski realnie wybiła i że na tę chwilę realizm konsekwentnej pracy politycznej ustąpić musi miejsca romantyzmowi czynu Le-

gjonów. Zrozumiał — i rozumiał niewątpliwie oddawna, bo nie był człowiekiem konjunkturalnych skoków myślowych — że w momencie, kiedy na polach walk na całym świecie podniosły się sztandary nawet maleńkich lub kulturalnie zacofanych narodów, aby zaznaczyć swe pretensje narodowe i niepodległościowe, to tem bardziej winny koniecznie rozwinąć się polskie sztandary, gdy ziemie polskie stały się jednym z głównych terenów wojny — tej oczekiwanej przez wieszczów wielkiej wojny ludów Europy! Rozumiał, że jeżeli naród polski nietylko w wygodnych fotelach paryskich lub londyńskich, ale przedewszystkiem na bezpośrednim, ojczystym terenie walk zbrojnym czynem woli swej o niepodległość nie objawi i Europie nie narzuci, to po wojnie albo niczego nie uzyska, albo jakieś nieznaczne tylko ochłapy, albo wreszcie stanie się w oczach wielkich kombatantów znowu przedmiotem zachłannych targów i los jego jeszcze się pogorszy.

W rezultacie tej swojej akcji otrzymał Bobrzyński — co niewielu już dzisiaj jest znanem — zaszczytny mandat od cesarza na cywilnego namiestnika ziem polskich, które zdobędą wojska austrjackie, przy współdziałaniu Legjonów, na Moskalach. Gotował się nawet jesienią 1914 r. do wyjazdu do Kielc, obranych jako pierwsza, tymczasowa siedziba jego urzędowania. Niestety, na dzień czy dwa przed jego przybyciem, Kielce zostały odbite przez Moskali, którzy bijąc wówczas armje austrjacko-niemieckie, posunęli się aż pod Kraków i po granicę Śląska, przez co początkowy „radosny“ rozmach armji austrjackiej został złamany, a później cała polityka Austrji wobec Kongresówki, chwycona za łeb przez Niemców, zupełnie się zmieniła.

A na parę lat przed śmiercią zostawił nam Michał Bobrzyński nowy, wspaniały pomnik swych

przemyślań, prac i talentu: III tom Dziejów Pol⸗ski, w których głęboko wyrytemi, uderzająco pro⸗stemi i — jak zwykle u niego — nieporównanie la⸗pidarnemi linjami kreśli obraz Polski rozbiorowej i wskrzeszonej. Dzieło to, któremu pod względem wszechstronności, głębi i stylu nic innego z literatu⸗ry historycznej, traktującej o tych czasach, zwłasz⸗cza najnowszych, równać się nie może, stanowi or⸗ganiczne zamknięcie i zaokrąglenie przeszło 50⸗let⸗niej, niepospolitej działalności Człowieka, o którym wystarczy jedno tylko lapidarne wyrzec powiedze⸗nie: że dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

Ale obok tego jedno jeszcze, prawdziwie nie⸗zwykłe stwierdzenie można wygłosić nad jego tru⸗mną: że był to mąż stanu i polityk o życiu kryszta⸗łowem, który żadnego swego czynu, żadnego swego słowa, ani myśli w ciągu tak długiej swej działalno⸗ści wstydzić się, ani ukrywać nie miał potrzeby. A to już na terenie ogółem amoralnej — jak dobrze wia⸗domo — wysokiej polityki, panującej na świecie, która nawet dla dobra swych krajów niebardzo liczy się z etyką, hołdując zasadzie, że racja stanu wszel⸗kie uświęca środki, rzecz zupełnie niezwykła! Nie⸗masz prawie na całym cywilizowanym świecie polity⸗ka i męża stanu wysokiej miary, któryby mógł z ręką na sercu powiedzieć krytykom: patrzcie na całe moje życie, od początku do końca, a nie znajdziecie w niem żadnej moralnej skazy, żadnego niskiego, egoistycznego, a choćby nawet tylko wątpliwego etycznie słowa lub czynu!

A to rzecz wielka, niemal bezkonkurencyjna — poza znikomymi liczebnie wyjątkami — na arenie całych nowoczesnych dziejów. Mógł oczywiście ten i ów polityczny czyn wielkiego męża stanu temu lub owemu nie podobać się z punktu widzenia partyjnej doktryny lub osobistego przekonania. Ale nikt, na⸗

wet najzagorzalszy przeciwnik, nie znajdzie w życiu Michała Bobrzyńskiego i w motywach, które tem życiem kierowały, najmniejszej czarnej plamki. Jeżeli starożytny mędrzec słusznie twierdził, że w głębszej istocie rzeczy cnota równoznaczna jest z mądrością, to całe życie Michała Bobrzyńskiego było najlepszym dowodem tego twierdzenia.

A równocześnie ten wielki uczony, ten wszechstronny, głęboki erudyta, który zdumiewał słuchaczy tem, że umiał mówić o każdym przedmiocie i z każdego problemu w trzech słowach trafną wyciągnąć syntezę, na którą inni napróżno nieraz w długich silili się wywodach — tenże sam człowiek był bezdyskusyjnym wyznawcą Wiary z zaparciem się wszelkiego rozumowania. Już jako młody człowiek w rozmowach z ks. Kalinką, który, jak wiadomo, do grona najstarszych założycieli szkoły krakowskiej należał, a lubił rozmawiać o niepojętych rozumem tajemnicach Wiary, Bobrzyński uchylał się od takich dyskusji, twierdząc, że w sprawach Religji nie należy rozumować, ale poprostu wierzyć. I tenże sam wielki, bardzo trzeźwo myślący i z wielką śmiałością stawiający swe tezy historyk, który nie zawahał się — na podstawie studjów i głębokiego przemyślenia — stwierdzić także, że stan duchowny w Polsce, mniej zahartowany społeczno-politycznie, niż w niejednym innym kraju, gdzie musiał walczyć z potężnymi ruchami heretyckimi, niezawsze w ważnych momentach historycznych potrafił wznieść się do należytego poziomu swej państwowej roli — tenże sam historyk, niezależny, wykształcony również w ogólnych zarysach wiedzy przyrodniczej, archeologji i astronmji (którą w wolnych chwilach przez szereg lat z zamiłowaniem studjował), wierzył tak mocno w każdy szczegół, który Kościół do wierzenia podaje, że w dojrzałym już wieku w roz-

mowie z pewnym przyrodnikiem, również wierzącym katolikiem, ale usiłującym tłumaczyć ustępy z pisma św. o raju w sposób kompromisowy ze zdobyczami archeologii i antropologjii, odpowiedział krótko a stanowczo, że mimo tych wszystkich najnowszych odkryć i badań, które mu są dobrze znane, wierzy, że historja raju była taka, jak ją Biblja opisuje. A przecież mówił to człowiek, który historję św. Stanisława Szczepanowskiego pod pewnym względem odbronzowił, kreśląc go na podstawie badań śmiałą ręką, jako buntownika, prowadzącego politykę wbrew intencjom Rzymu i porozumiewającego się z zewnętrznymi nieprzyjaciółmi państwa przeciw królowi, który dlatego widział się wkońcu zmuszonym Biskupa przed swój sąd powołać i na śmierć skazać, chociaż z innej strony Biskup ten rację miał, wytykając królowi rozwiązłe życie.

Z tak śmiałych, na badaniu prawdy historycznej wysnutych twierdzeń, urosła wśród ludzi, powierzchownie rzecz sądzących, fałszywa legenda, jakoby Michał Bobrzyński był „liberałem" w przeciwieństwie do widocznej, na każdym kroku manifestowanej pobożności wielu swoich przyjaciół z Krakowskiej szkoły. Fałsz, na którego zbicie nie potrzeba długich wywodów. Wszak głęboka wiara i pobożność i wysoce uduchowiona etyka w postępowaniu nie potrzebują z patosem się manifestować. Wiemy nawet z dzisiejszego, codziennego doświadczenia, że istnieją w Polsce liczne grupy ludzi, wznoszących ustawicznie oczy do Nieba i oświadczających się duchowieństwu, jako niby najwierniejsze owieczki Kościoła, które jednak z istotnymi przepisami nauki Chrystusowej po macoszemu się obchodzą, a pobożność i wysoce uduchowiona etyka w postępowaniu do władzy w kraju.

Michał Bobrzyński nie lubił żadnych szerokich manifestcji osobistych. Gdzie była potrzeba stwierdzić wyraźnie swą Wiarę, czy w życiu prywatnem, czy na arenie publicznej, tam czynił to bez wahania. Pewnym projektom w parlamencie austrjackim, przeciwnym Kościołowi (chodziło, o ile pamiętam, o sprawę laicyzcaji ślubów), przeciwstawił się Bobrzyński z całą energją. Z pewnością też wśród ludzi, tak głęboko wykształconych, a zwłaszcza zaprawionych na krytycyżmie naukowym, nie wielu znalazłoby się z tak głęboką, tak prostą, tak niemal dziecięcą Wiarą. Ale do manifestujących się pobożników, do dewotów, nie chciał należeć. To sprzeciwiało się całej jego męskiej, twardej naturze i wysokiemu poziomowi jego intelektu.

Nie szła za jego trumną w rodzinnym Krakowie „cała Polska", jak to bywa z reguły na manifestacyjnych pogrzebach różnych przygodnych dygnitarzy, choć na daleko mniejszą skrojonych miarę, lub popularnych filantropów czy literatów. Niewiele wybitniejszych nazwisk miały z tego obrzędu gazety do zanotowania. Ale za to szła za trumną jego historja Polski, z całą swą przeszłością i przyszłością, gdyż jeżeli dla przeszłości był Michał Bobrzyński genialnym badaczem i syntetykiem, to dla przyszłości stał się wielkim nauczycielem i pozostawił wskrzeszonej Ojczyźnie zbawienne, ale stanowcze memento: postulat silnej a mądrej władzy, zdolnej do konkretnego rozwiązywania ważnych problemów państwowych i narodowych na dłuższą metę.

A ponieważ ten właśnie kapitalny problem był w dawnej Polsce najbardziej ze wszystkich zaniedbany i dopiero Polska wskrzeszona ma moc wdrożenia jego realizacji, dlatego najważniejsza ta teza i dzieło życia Michała Bobrzyńskiego nie zamknęły

się nad jego grobem, ale stają przed nami w pełnym aktualiźmie i stanowić będą wytyczną dla polskiej racji stanu po wszystkie czasy.

*„Stańczyk“.*

---

# KILKA WSPOMNIEŃ O Ś. P. MICHALE BOBRZYŃSKIM.

Gorąca chęć oddania hołdu pamięci wielkiego męża, śp. Michała Bobrzyńskiego, z którym swego czasu losy mnie zetknęły, skłania mnie do zwrócenia się z prośbą do Redakcji „Naczej Przyszłości“, aby zechciała zamieścić tych kilka wspomnień, które niniejszem przesyłam. Może kiedyś znajdzie się wielkie i godne pióro, które nakreśli obraz działalności ś. p. Michała Bobrzyńskiego i wówczas może te wspomnienia moje przyczynią się do uzupełnienia tego obrazu.

Było to na kilka lat przed wybuchem wielkiej wojny światowej. Po ukończeniu studjów na wydziale filozoficznym U. J., gdzie pracowałem pod kierunkiem prof. Dra Wincentego Zakrzewskiego, prof. Dra Smolki i innych znakomitości naukowych ówczesnych, poświęciłem się studjum prawa, pociągnięty chęcią zbadania tej dziedziny wiedzy ludzkiej i głośnemi nazwiskami uczonych, wykładających wówczas na tym wydziale, jak prof. Dr. Władysław Leopold Jaworski, prof. Dr. Ulanowski, prof. Dr. Czerkawski i wielu innych.

Dzięki poparciu kilku moich profesorów znalazłem się wśród pracowników krakowskiego dziennika „Czas“, pozostającego pod redakcją ś. p. Rudolfa Starzewskiego, mając zaszczyt kolegowania po piórze przez pewien czas nie tylko z takimi zawodowymi dziennikarzami, jak Witold Noskowski, ś. p. Konrad Rakowski, ale i z innymi ówcześnie wybitnymi osobistościami, które swoje opinje, myśli i zapatrywania na łamach tego pisma zamieszczały.

Lokal redakcji „Czasu“ nie był wówczas zwyczajnym lokalem redakcyjnym. W gabinecie naczelnego redaktora codziennie około południa gromadzili się najwybitniejsi politycy, skupiający się koło ideologji, reprezentowanej przez „Czas“, przychodzili nierzadko wybitni profesorowie uniwersytetu — utarło się bowiem, że „Czas“ był nieoficjalnym organem uniwersyteckim — zjawiali się nierzadko wysocy dostojnicy kościelni, toczyły się dyskusje i narady, bardzo często zapadały postanowienia, mające decydujący wpływ na bieg i układanie się stosunków politycznych w dawnej Galicji.

W redakcji „Czasu“ było mnie też danem po raz pierwszy zetknąć się ze ś. p. Michałem Bobrzyńskim. W czasie tym nie był on już wiceprezydentem rady szkolnej, powrócił na swoją katedrę uniwersytecką. Już wówczas cieszył się ogromnym autorytetem i to tak jako pierwszej miary uczony, jak nie mniej jako wytrawny mąż stanu oraz człowiek pod każdym względem kryształowy. W każdej sprawie czekano na decyzję ś. p. Bobrzyńskiego. Kiedy nawet po długiej nieraz dyskusji, w której brały udział nie byle jakie głowy, dość że wymienię prof. Dra Wł. L. Jaworskiego, uzgadniano jakieś stanowisko, czy zgadzano się na pewien postulat, to zawsze odkładano ostateczną decyzję do chwili wypowiedzenia się w danej sprawie ś. p. Bobrzyńskiego. „No, a co na to powie Bober?“ — tak w żargonie nazywało się wówczas odwoływanie się do ostatecznej decyzji ś. p. Bobrzyńskiego, który zajął w zupełności miejsce czynnika decydującego w ówczesnej polityce Galicji, jakim swego czasu był b. minister skarbu Juljan Dunajewski.

Po chwilowem ustąpieniu ze stanowiska marszałka krajowego, Stanisława hr. Badeniego, ważyły się przez czas pewien decyzje co do obsadzenia tej

niesłychanie ważnej placówki w życiu politycznem naszego narodu, gdyż marszałek był głową kraju i reprezentował administrację, a więc rządy autono=miczne, a więc polskie, tej części naszego państwa, która była pod władzą Austrji. Szło o to, aby na sta=nowisko to wysunąć jakąś wybitną osobistość, dają=cą gwarancję, że ta „polska gospodarka“ będzie na=prawdę wzorową.

W gabinecie redaktora Starzewskiego toczyły się długie dyskusje, niełatwem było bowiem wyna=lezienie godnego następcy takiego talentu admini=stracyjnego, jakim był Stanisław hr. Badeni. Osta=tecznie zdecydowano, że należy stanowisko to po=wierzyć Zdzisławowi hr. Tarnowskiemu, panu na Dzikowie, który już miał za sobą tradycje w tym kierunku, albowiem ojciec jego, Jan hr. Tarnowski, piastował przez długi okres czasu laskę marszałkow=ską, szwagier zaś, Andrzej hr. Potocki, sprawował właśnie urząd namiestnika.

Na terenie galicyjskiej polityki krajowej doko=nywały się pewne przesunięcia, tworzyło się nowe stronnictwo zachowawcze, mające skupić wszyst=kie żywioły agrarne kraju i stworzyć jednolity po=lityczny front, oparty szeroką podstawą o interesy rolne. Tak zwani stańczycy krakowscy łączyli się z podolakami, t. j. ze sferami zachowawczo = zie=miańskiemi Galicji wschodniej, do tego zaś sojuszu mieli się przyłączyć ludowcy z pod znaku Jana Sta=pińskiego, który wówczas reprezentował ruch lu=dowcowy, wszystkie zaś te warstwy i ugrupowania miały stworzyć nowe stronnictwo pod nazwą „Pra=wicy narodowej“. Praca ta i myśl polityczna była ogromna, a jej przeprowadzenie i urzeczywistnie=nie wobec tężejącego i coraz bardziej agresywnego frontu ruskiego, t. zw. ukraińskiego, mogło i powin=no było wydać doniosłe dla polskości rezultaty.

Z redakcji „Czasu“ znalazłem się w Dzikowie w charakterze prywatnego skretarza Zdzisława hr. Tarnowskiego, desygnowanego na marszałka kraju. W związku z realizacją planu stworzenia jednolitego frontu politycznego o tendencjach zachowawczych, opartego o szerokie warstwy rolnicze, toczyły się w Dzikowie, siedzibie Zdzisława hr. Tarnowskiego, prezesa stronnictwa, narady polityków i szła mocna praca. Pamiętam jedno bardzo liczne zgromadzenie, na które zjechali się ziemianie z całej ówczesnej Galicji. Nie brakło oczywiście ś.p. Bobrzyńskiego, który był mózgiem tworzącego się stronnictwa. Po obiedzie znaleźli się uczestnicy zgromadzenia w dużym salonie zamku dzikowskiego. Tak się złożyło, że w środku salonu siedział ś.p. Bobrzyński, a wokół tworzyły się grupy i grupki, żywo dyskutujące na najprzeróżniejsze temata, związane z polityką i świeżo założoną organizacją polityczną. Ś. p. Bobrzyński milczał, paląc swoje nieśmiertelne cygaro. W pewnym momencie salon zaległa na sekundę cisza, którą wyzyskał ś. p. Bobrzyński i począł równym, jakby przemawiając z uniwersyteckiej katedry, głosem odpowiadać każdej przed chwilą dyskutującej grupie i grupce na poruszane przez nią temata czy zagadnienia. Podziwiałem fenomenalną pamięć ś. p. Bobrzyńskiego — wiedział i słyszał wszystko, co wokół niego mówiono, odpowiadał każdemu, a wszyscy słuchali go z wielką uwagą — a przecież wśród zgromadzonych gości były nie byle jakie osobistości, bo, o ile sobie przypominam, był i Stanisław hr. Tarnowski i był pan na Łańcucie, hr. Potocki.

Wieczorem tego dnia, który, jak pamiętam, był wyjątkowo upalny, stałem na tarasie zamkowym. W zamku powoli gasły światła, goście udawali się na spoczynek. W pewnej chwili ujrzałem ś. p. Bo=

brzyńskiego, który wyszedł ze swego pokoju, aby zażyć chłodu. Zagadnął mnie i zeszliśmy razem do parku. Chodziliśmy długi czas po alejach, odpoczywaliśmy na ławkach ogrodowych, zdaje mi się, że już dawno kury odpiały swoją serenadę, kiedy znalazłem się u siebie. Nie była to rozmowa, bo o czemże mógł rozmawiać student uniwersytetu z taką osobistością, jak ś. p. Bobrzyński — cała rozmowa była raczej monologiem, niesłychanie zresztą małomównego człowieka, przerywana od czasu do czasu pytaniami z mej strony, może więcej dla przyzwoitości i zaznaczenia, że interesuję się przedmiotem poruszanym, aniżeli rzeczywistą potrzebą. Na moją uwagę na niesforność szlachty, która się zaznaczyła w chaotycznej dyskusji tego dnia, odpowiedział ś. p. Bobrzyński mniej więcej w te słowa: „No, widzi pan, ale i ta warstwa jest naszemu społeczeństwu potrzebną. Każde społeczeństwo, aby się mogło dziejowo wypowiedzieć i spełnić swoje historyczne zadanie, oraz należycie rozwijać, musi być zróżniczkowane, a nie składać się z jednej tylko warstwy społecznej. W każdem społeczeństwie zupełnem potrzebną jest i arystokracja i szlachta i stan inteligencji i mieczczaństwo i chłopi. Brak którejkolwiek warstwy społecznej czyni społeczeństwo karłowatem, niedorozwiniętem, niezdolnem do spełnienia swej misji historycznej, czego przykładem społeczeństwo Bułgarji i Serbji“.

Przeszliśmy na inne tematy. Wedle tego, co ś. p. Bobrzyński mówił, wierzył On niezłomnie, że wybije kiedyś dziejowa godzina dla nas i Polska odzyska niepodległość, gdyż jest to dziejowa konieczność. Rozwiązanie sprawy polskiej widział jednak w oparciu o Austrję, będąc zdecydowanie przekonanym o wielkiej życzliwości cesarza Franciszka Józefa dla narodu polskiego. Do wiedeńskiej biuro-

kracji i jej odniesień do naszego narodu, zwłaszcza do ówczesnego premjera Körbera, odnosił się bardzo sceptycznie, wskazując na posunięcia polityczne rzą= du austrjackiego w odniesieniu do Rusinów. „Jak dłu= go jednak żyje“ — mówił — „Agenor hr. Gołuchow= ski, możemy żywić nadzieję, że i wysiłki niechętnej nam biurokracji nie wiele nam szkody wyrządzą. Trudność sytuacji — ciągnął dalej ś. p. Bobrzyń= ski — upatruję raczej w samem społeczeństwie pol= skiem, nie przeszliśmy w swoim czasie recepcji pra= wa rzymskiego. Polska królewska, wykształciwszy swoje prawo publiczne, prawa prywatnego prawie że nie miała. Polacy nie wyrobili w sobie poczuca prawa, tak niesłychanie ważnego momentu przy kształtowaniu się stosunków państwowych i spo= łecznych i w tem należy widzieć największą trud= ność przy organizacji niepodległego bytu państwo= wego, pominąwszy wszystkie przeszkody poli= tyczne“.

Dawno już północ minęła, kiedy odprowadzi= łem ś. p. Bobrzyńskiego do jego pokoju. Rozmowa ta wywarła na mój młody, wrażliwy umysł ogrom= ne wrażenie, była jakby rewelacją; miałem wrażenie, że ktoś przedemną podniósł zasłonę i ukazał mi jakieś dalekie horyzonty i mało znane kraje. Naza= jutrz powtórzyłem treść nocnej rozmowy prof. Dr. Wł. L. Jaworskiemu, który, oceniając ówczesną jej doniosłość, polecił mi zachować ją w ścisłej dy= skrecji.

W kilka dni później jechałem w towarzystwie ś. p. Bobrzyńskiego do Wojsławia, do domu mar= szałka powiatu mieleckiego, ś. p. Sękowskiego, gdzie odbywały się w dalszym ciągu zebrania i narady po= lityczne. Ś. p. Bobrzyński był we wyśmienitym hu= morze, słuchał dowcipów i nawzajem nawet nimi odpowiadał. Opowiadałem Mu zabawne dzieje mo=

jej t. zw. suplentury w gimnazjum w Jarosławiu, którą odbywałem po ukończeniu moich studjów filozoficznych, a za Jego rządów w radzie szkolnej, za czasów której to suplentury uczyłem wszystkich przedmiotów, sam mało się w nich wyznając, z wyjątkiem historji, w której się specjalizowałem. Podświadomie odczuwałem dla siebie wielką jakąś życzliwość ś. p. Bobrzyńskiego, która była tak uderzająca, że zwróciło to nawet uwagę otoczenia.

We dworze ś. p. Sękowskiego zabawiliśmy kilka dni, a dnie te były bardzo pracowite, zwłaszcza dla ś. p. Bobrzyńskiego, który był nieznużony i w pracowitości przewyższał nawet Zdzisława hr. Tarnowskiego, o którego niespożytych siłach i wytrzymałości chodziły legendy. Rozstaliśmy się, aby się spotkać jeszcze raz tylko, kiedy zaniosłem Mu wiadomość o tragicznej śmierci ś. p. Andrzeja hr. Potockiego. Ze spotkania się tego mego ze ś. p. Bobrzyńskim wyniosłem pamięć na całe życie, w umyśle moim żyje postać ta tak, jak ją widziałem, postać jasna, kryształowo czysta, postać gorącego patrjoty, miłującego rozumnie swój naród i pragnącego naprawdę dobra swego społeczeństwa, postać wielkiej nauki i postać, darząca mnie, młodego wówczas człowieka, niezasłużoną niczem życzliwością. Taką ta postać do dziś we mnie żyje i wspomnienia takiej postaci przekażę pamięci moich synów, a że wspomnienie to w mej duszy jest jasnym promieniem, to niechaj i tej wielkiej Duszy świecą jasne promienie nieśmiertelności, pozostałym zaś niechaj zostanie przekonanie, że życiem swem i czynami ś. p. Bobrzyński dobrze zasłużył się swemu narodowi.

Przechodząc myślą te ubiegłe czasy, przypominam sobie jeszcze jeden interesujący szczegół. Jadąc koleją z Tarnobrzegu do Mielca, mówiliśmy ze ś. p. Bobrzyńskim o szkolnictwie i zagadnieniach

oświaty szerokich mas. Bobrzyński poruszył wówczas sprawę zarzutu, jaki go spotykał z pewnych kół społeczeństwa i nadmienił, iż wie o tem, że zwalczająca go narodowa demokracja ówczesna obdarzyła go przydomkiem „gasiciela oświaty". Rozmawiając na ten temat, powiedział do mnie te słowa:

„Widzi Pan, z tą oświatą to jest tak. Oświata budzi i wzmaga całą masę potrzeb, nieznanych dotąd człowiekowi. Jeżeli równocześnie i równomiernie postępujący rozwój ekonomiczny kraju i społeczeństwa jest w możności zaspokoić te nowo powstające i narastające potrzeby, to wtedy oświata staje się błogosławieństwem dla narodu i kraju. W przeciwnym razie staje się dla nich przekleństwem, gdyż stanowi wówczas źródło głębokiego niezadowolenia i wszelkich ruchów rewolucyjnych. Wzrost zaś dobrobytu nie jest zależnym jedynie i wyłącznie od wzmożenia się oświaty, bo na wzrost ten działają jeszcze inne, nieraz zupełnie od danego społeczeństwa niezależne czynniki".

Kraków, w lipcu 1935.

*Dr. Witold Sygiericz sen.*

# PAMIĘCI OJCA.

Natarli na mnie Przyjaciele, abym przynajmniej na końcu tego działu Naszej Przyszłości zamieścił koniecznie kilka osobistych słów o moim ś. p. Ojcu.

Nie sądzę w mojej żałobie, żeby mi to wypadało i wolałbym innym to zostawić. Ale twierdzą właśnie ci inni, że powinienem i ja dołączyć choćby krótkie wspomnienie, zwłaszcza takie, któreby mogło postać, czy charakter Najdroższego Zmarłego dobrze scharakteryzować.

Ulegając tym życzeniom, wspomnę Czytelnikom tego pisma jedno, pozornie drobne zdarzenie zeszłoroczne.

Byłem wówczas bardzo zajęty ważnymi sprawami i dlatego od dłuższego czasu nie mogłem odwiedzić ś. p. Ojca w Jego wiejskiej siedzibie w Wielkopolsce. Chcąc się koniecznie widzieć zemną, przyjechał Ojciec do Warszawy. Rzecz oczywista, że starałem się przez te dwa dni, które tu bawił, być z Nim ciągle, z najniezbędniejszemi tylko przerwami, które prace moje koniecznie wymagały. Czułem, jak ś. p. Ojcu na tem widzeniu się i rozmowie zemną zależy, gdyż osiemdziesięciopięcioletni starzec uważał każde widzenie się nasze, jako ostatnie.

Wciągu jednej z rozmów wspomniałem mimochodem, że umówiłem się z kimś tego dnia na konferencję w oznaczonej godzinie, ale dodałem zaraz, że łatwo ją mogę na dzień następny odłożyć, gdyż jeżeli zatelefonuję, że nie mogę przybyć z powodu rzadkiego wypadku przyjazdu Ojca do Warszawy, to będę dostatecznie wytłómaczony i konferencja,

zresztą w sprawie nie bardzo pilnej, da się bez trudności odłożyć na dzień następny, przez co sprawa nie poniesie żadnego uszczerbku.

A wówczas ś. p. Ojciec mój stanowczo sprzeciwił się temu, abym dla prywatnych spraw i uczuć zrobił komuś zawód i odkładał pracę nad jakąś sprawą publiczną, choćby drobną i choćby dającą się odłożyć.

— Zapowiedziałeś się, więc idź, a ja zaczekam!

Mam wrażenie, że szczególnie w dzisiejszych warunkach, a całkiem specjalnie w codziennych stosunkach warszawskich, to drobne wspomnienie niezmierną ma wymowę i dostatecznie charakteryzuje ś. p. Ojca. Utkwiło mi też bardzo głęboko w pamięci wśród różnych wspomnień o Nim z lat ostatnich, nawet dotyczących nieraz daleko ważniejszych spraw i wypadków. Utkwiło mi dlatego, że ten jeden drobny objaw punktualności i traktowania prawdziwie na serjo każdej sprawy i własnego słowa stanowić winien wielką naukę dla obecnych ludzi i czasów, w których wielu ani siebie, ani drugich, ani danego przyrzeczenia na serjo traktować nie umie.

Gdyby choć ta drobna reforma nastąpiła w elicie społeczeństwa polskiego, żeby ludzie większą dyscyplinę we wzajemnej pracy sobie nałożyli, więcej słowo swe sobie cenili i obowiązki swe, choćby drobne, w sprawach publicznych ponad prywatne przyjemności i zajęcia kładli, to tężyzna narodowa i skuteczność wszelkiej pracy dla spraw publicznych inaczejby wyglądały!

*Jan Bobrzyński.*

---

# TEZY GOSPODARCZE ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

W poprzednim tomie Naszej Przyszłości, zbiorowym za kwiecień i maj, podaliśmy w kronice działalności Związku, poczynając od str. 78, historję genezy naszej Sekcji gospodarczej oraz główne zasady i cele jej działania, obejmujące ogólną stronę życia i problemu gospodarczego i stąd głębsze przyczyny panującego na całym świecie chronicznego załamania się pracy gospodarczej.

Wysnuliśmy z tych rozważań dwa, wyraźnie skonkretyzowane cele działalności naszego Związku na odcinku gospodarczym, które równolegle i nieodłącznie muszą być traktowane, a mianowicie z jednej strony propaganda konieczności rewizji dotychczasowego „systemu ustabilizowanego" w poglądach wszelakich sfer gospodarczych na istotną rolę, granice i zadania pracy gospodarczej wogóle na tle nowoczesnych stosunków, z drugiej zaś strony konieczność podważenia i reformy zasadniczych aksjomatów wiedzy prawniczo-fiskalnej, określającej w przestarzały już sposób, nieżywotny i rujnujący, cały system świadczeń finansowych jednostki na rzecz państwa za pośrednictwem nadmiernie wybujałego i skomplikowanego aparatu fiskalnego.

Stwierdziliśmy, że bez równoczesnej, śmiało w głąb sięgającej reformy obu tych podstawowych momentów, normujących dziś jeszcze — mimo kompletnej zmiany stosunków i ogromnego postępu na wszelkich innych polach — życie gospodarcze, uzdrowienie i racjonalizacja tego życia nie są możli-

we, gdyż chroniczny kryzys, który od kilkunastu lat tak dotkliwie wszyscy odczuwamy i którego końca, mimo wszelkich pocieszających prognoz, w istocie wcale nie widać, wyrósł i utrzymuje się właśnie wskutek wymienionych dwóch walnych czynników: błędnej i przestarzałej mentalności sfer gospodarczych oraz od dawna przestarzałych tez wiedzy prawniczo = fiskalnej, z której podstawowe swe założenia czerpią, wyolbrzymiają i dla swych celów nadużywają zarówno wszelakie prądy radykalno = demagogiczne, jak i etatystyczne. Ustaliliśmy więc wkońcu tezę, że dopóki nie nastąpi gruntowna rewizja pojęć zarówno w mózgach prywatnych przedsiębiorców gospodarczych, jak i na katedrach uniwersyteckich prawa i ekonomji, dopóty na serjo, rozumnie i szczerze o jakimkolwiek skutecznym starcie w kierunku trwałej naprawy sytuacji gospodarczej mowy być nie może, a wszelkie usiłowania rządów, sejmów, reprezentacji i organizacji zawodowych, oraz różnych wybitnych ekonomistów i mężów stanu nie wydadzą, bo nie będą mogły wydać, żadnego trwałego rezultatu i odgrywać będą zawsze tylko rolę eksperymentów z chwilowym, mniej lub więcej fortunnym lub niefortunnym rezultatem, który bezwzględnie miażdżony będzie przez żelazny walec twardej a smutnej rzeczywistości.

Obecnie, rozwijając dalej i syntetyzując rozważania podkomisji naszej Sekcji gospodarczej, podajemy niniejszem do wiadomości członków Związku i wogóle czytelników Naszej Przyszłości następujące, więcej już szczegółowe tezy wytyczne, oczywiście tylko w krótkim, lapidarnym zarysie, gdyż dla wyczerpującego ich uzasadnienia należałoby napisać gruby tom, jeżeli nie więcej. Prosimy zważyć, że tezy te są wynikiem kilkoletnich badań i dyskusji na terenie naszego Związku i to od czasów, kiedy Zwią=

zek formalnie jeszcze nie istniał, a znajdował się w stanie powolnych narodzin w luźnem gronie „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości“. Właściwie już pierwsze, inauguracyjne zebranie tego Koła, w zimie 1931 r., zajęło się tematem gospodarczym. Sekcja więc gospodarcza, powstająca obecnie oficjalnie na gruncie założonego w roku ubiegłym Związku P. M. P., ma już do dyspozycji wielki materjał poprzedniego przemyślenia i doświadczenia w wymienionem Kole, który w znacznej części opublikowany został stopniowo — aczkolwiek jeszcze nie w kompletnej syntezie — w długim szeregu obszernych artykułów Naszej Przyszłości i omawiany był w niemniej długim szeregu konferencji, z udziałem przedstawicieli różnych sfer, przez kilka lat.

Dla ułatwienia czytelnikowi introdukcji w niżej wyszczególnione tezy, których dokładniejsze opracowanie i propaganda będą właśnie zadaniem naszej Sekcji gospodarczej — zalecamy bardzo odświeżenie sobie w pamięci owego artykułu w poprzednim tomie, obejmującego zaledwie kilka stronic, ale tłómaczącego wyraźnie pobudki i cele naszej akcji na froncie gospodarczym, czego tu powtarzać oczywiście nie będziemy.

---

I. Ponieważ kryzys gospodarczy, a za nim w konsekwencji kryzys kapitalizmu i społeczny, wyrosły na podłożu panującego dotąd jeszcze, a stanowczo już przebujałego i amoralnego systemu pojęć, charakteru, celów i pożądań prywatnego życia gospodarczego, dlatego bez odpowiedniej rewizji i reformy podstaw tego systemu zwalczony być nie może.

Każdy rok powojenny potwierdza z coraz większą oczywistością słuszność tej tezy. Potwierdza

zwłaszcza bezsporną już chyba beznadziejność i jałowość wszelkich wysiłków i najgenialniejszych nawet koncepcji rządów, sfer gospodarczych i poszczególnych wybitnych, utalentowanych jednostek. Wszystkie cudotwórcze leki, stosowane od kilkunastu lat na obu półkulach świata, a w szczególności u nas w Polsce — bo ta nas oczywiście najbardziej obchodzi — nie są wstanie w jakikolwiek trwalszy, prawdziwie skuteczny sposób powstrzymać progresji gospodarczego upadku, który — poza bardzo nielicznemi sferami, dotąd jeszcze przed nędzą uprzywilejowanemi — idzie wciąż naprzód, pogłębiając ogólną biedę i poziom bytowania, a przez to także i poziom kultury.

Największem zaś nieszczęściem w tej katastrofie, która grozi prędzej czy później jakimś przewrotem, przyczem runąć może i kapitalizm przez swe przestarzałe, a z tępym uporem nieopatrznie bronione formy i obyczaje, jest to, że istnieje niestety zbyt wielu jeszcze beztroskich szczęściarzy i spryciarzy, którym zbyt dobrze się dzieje, którzy kumulują w swych rękach ogromne, niczem nieusprawiedliwione dochody i wskutek tego głoszą w radosnem upojeniu, że wcale nie jest tak źle na świecie. Ci właśnie, trzęsąc się ze strachu o swoje dochody, tłuste posady, fotele, luksusowe automobile i t. d., walczą, jak lwy, przeciw wszelkim sugestjom jakiejkolwiek zasadniczej zmiany ustabilizowanego gospodarczego status quo. Przez to tamują, świadomie czy podświadomie, wszelką możliwość rzetelnego uzdrowienia stosunków, nie bacząc na to, że życie nie zniesie — bo nigdy nie znosi — na dłuższą metę wybujałości przestarzałego systemu.

Stąd też wszelakie uchwały konjunkturalne fachowych ciał gospodarczych, wszelkie pociągnięcia wybitnych fachowców lub mężów stanu, robiące

chwilowo sensacyjne wrażenie na społeczeństwie, wszelkie zgromadzenia i wybitne przemówienia głośnych uczonych nie mogą w niczem zmienić, smutnego naszego materjalnego stanu, ani zapobiedz postępowej ruinie całych wielkich działów pracy gospodarczej, a zatem i proletaryzacji wartościowych sfer społecznych. Nie mogą temu zapobiedz, bo wszystkie te wymienione paljatywy opierają się na podtrzymywaniau w dalszym ciągu tego właśnie stanu rzeczy, który chroniczną wywołał chorobę. Jakże więc może lekarz uleczyć kogoś z ciężkiej choroby wewnętrznej, jeżeli nawet mówić o niej nie chce, tylko wciąż lekkomyślnie, nieszczerze, z uporem, stosuje jedynie środki, uśmierzające bóle, a więc tylko zewnętrzne symptomy? Przy takiej kuracji pacjent musi wkońcu przenieść się w lepsze światy.

I dlatego nasza Sekcja gospodarcza sceptycznie zapatruje się na wszystkie zewnętrzne, dorywcze, konjunkturalne paljatywy, czy to naukowe, czy oficjalne, czy fachowo-prywatne, dotąd stosowane, gdyż żaden z nich doniosłością swą nie sięga poza najbliższą metę i żaden nie dotknął dotąd jasno i głębiej zmiany systemu, bez czego dzisiaj już o sanacji gospodarczej na serjo mówić nie można.

II. Z powyższych względów właściwym celem pracy i propagandy Związku Polskiej Myśli Państwowej na odcinku gospodarczym nie może być obrabianie fachowych szczegółów w różnych dziedzinach życia gospodarczego, ale zajęcie się tem, czem dotąd nikt na serjo się nie zajmuje, mianowicie ustaleniem i propagandą ogólnych torów myśli, tendencji i pracy gospodarczej.

Do omawiania bowiem i ustalania szczegółów istnieje przecież mnóstwo w kraju ciał, instytucji i fachowców, którym wchodzenie w drogę byłoby

bezcelowem z naszej strony, gdyż wszystkie te czynniki, łącznie z masą prywatnych przedsiębiorców, lepiej od nas wiedzą, czego poszczególnym działom gospodarczym potrzeba, a niektóre z tych instytucji mają nawet oficjalne mandaty i egzekutywę w wykonywaniu swych zadań. Dublowanie więc przez nasz Związek i nasze wydawnictwo prac np. Izb Przemysłowo-handlowych, Rolniczych lub Rzemieślniczych, albo fachowych związków zawodowych, czy uczonych zrzeszeń ekonomicznych, byłoby zamierzeniem całkiem bezcelowem i bezużytecznem. Natomiast żadne z tych ciał, ani żaden wogóle z fachowców, o ile nam wiadomo, nie dotykał dotąd sprawy ogólnych torów gospodarstwa krajowego, jego głębszego sensu i właściwej roli oraz organicznych przyczyn jego chronicznej choroby. Nie dotykał, bo się bał wielu obrońcom „ustabilizowanego systemu" narazić. Właśnie dlatego otwiera się tu swobodne, a wielce tentujące i użyteczne pole dla naszej akcji.

III. Rozumne czynniki wśród prywatnych sfer gospodarczych winny bez obaw, zastrzeżeń oraz fałszywie pojętej solidarności zawodowej i swej rzekomej „racji stanu", same z siebie, z własnej inicjatywy wspomnianą rewizję przeprowadzić, oczyścić się z pyłu i śmiecia i wyrwać ze stanu samobójczego, a dla kraju i kultury niezmiernie szkodliwego zakostnienia.

Dotąd niestety trzymają się sfery gospodarcze nawskroś przeciwnej taktyki. Trwając z uporem, krótkowzrocznie przy przestarzałym systemie swych pojęć, tradycji, metod, pożądań i egoistycznych celów, tolerują suchem okiem raczej tysiączne bankructwa poszczególnych przedsiębiorców, ruinę całych gałęzi gospodarczych i wolą rzucać się w objęcia etatyzmu — na który potem rozgłośnie narzeka-

ją — zamiast uznać pewne, oczywiste prawdy i do nich zastosować się, każdy w swoim zakresie i w sposób właściwy. Wolą więc sfery gospodarcze bankrutować, w bezkrytycznem złudzeniu, że im się uda doczekać „lepszych czasów", wolą ściągać na kraj i społeczeństwo katastrofę etatyzacji i niewoli społecznej, chociaż niby domagają się wciąż liberalizmu, niż przyznać wyraźnie i uczciwie, że oświecony wiek XX nie zniesie dłużej przestarzałych pojęć i domaga się kategorycznie ich reformy.

Wydaje się sferom gospodarczym, że takiem wyznaniem gorżkiej prawdy podważą swe fotele i warsztaty, gdy w rzeczywistości sprawa ma się wprost przeciwnie. Fotele te i warsztaty tembardziej i prędzej zachwieją się i zapadną, im uparciej ukrywać się będzie prawdę i prolongować system przestarzały na spróchniałych podstawach.

IV. Najważniejszą z tych prawd i zarazem jedynie możliwym punktem wyjścia w kierunku jakiejkolwiek na serjo sanacji gospodarczej, jest oczywiste stwierdzenie, że życie gospodarcze nie jest i nie może być jakimś celem samym w sobie, podobnie zresztą, jak żadne inne urządzenie społeczne, ale ma o tyle tylko rację bytu i w takich tylko rozmiarach może się racjonalnie rozwijać w każdej danej epoce, o ile odpowiada naprawdę potrzebom społeczeństwa.

W tem tkwi najgłębsze sedno sprawy i gdyby tę jedną, podstawową i oczywistą prawdę zechciały uznać sfery gospodarcze w nowoczesnych warunkach, to najważniejszy, najowocniejszy w rezultaty zwrot w kierunku naprawy byłby uczyniony. Niestety, o ten właśnie walny szkopuł wszystko się rozbija, a przedewszystkiem rozbija się skuteczność wszelkich wysiłków, zebrań i najwybitniejszych nawet przemówień sanacyjno-gospodarczych, gdyż lu-

dzie, którzy nie chcą uznać prawdy i na tej prawdzie oprzeć swego rozumowania i swych argumentów, muszą nieprawdę mówić swoim bliźnim, przez co także i wymyślane w takich warunkach środki na zwalczanie klęski muszą być fałszywe. W szczegółach, dotyczących potrzeb i bolączek rolnictwa, finansów, przemysłu, handlu, waluty, eksportu, importu, cen, kalkulacji gospodarczej, podatków i wszelakiego ustawodawstwa, mówcy, pisarze i działacze ekonomiczni mogą mieć sto razy rację; ale jeżeli punkt wyjścia jest fałszywy, jeżeli każdy tak rzecz rozumie, iż interes gospodarczy jest celem samym w sobie, czemś oderwanem od państwa i społeczeństwa, któremu państwo i społeczeństwo bezwzględnie, nieraz nawet bezużytecznie muszą się aż do całkowitego wycieńczenia podporządkować, jeżeli każda istniejąca budka handlowa musi być w egzystencji swej za wszelką cenę z funduszów publicznych w nieskończoność podtrzymywana, choć brak jej klienteli i jest całkiem bezużyteczna, jeżeli każde przedsiębiorstwo, które gdzieś, kiedyś, ktoś założył, choćby pradziad w całkiem wówczas innych warunkach rynku i zbytu, jest nienaruszalnem tabu gospodarczem i musi być w tych samych rozmiarach utrzymywane, a nawet jeszcze rosnąć, bo tego wymaga rzekomo gospodarcza racja stanu — to tak błędny punkt wyjścia w założeniu musi prowadzić do fałszywych wyników w szczegółach.

Przykład konkretny: jeżeli, wychodząc z tak błędnych punktów widzenia, chcemy wysanować całe to życie gospodarcze, w niezmienionej postaci, które w tej chwili w Polsce egzystuje, to porywamy się na problem, absolutnie nierozwiązalny, gdyż życie to powstało w całkiem innych, niż dzisiejsze, warunkach. Możemy natomiast myśleć racjonalnie tylko o stworzeniu resp. reorganizacji nowego życia go=

spodarczego, dostosowanego do obecnych, istotnych naszych potrzeb, a uwolnionego od zbędnego już dzisiaj balastu. Czyniąc inaczej, dla fałszywych ambicji lub całkiem źle pojętego kupieckiego interesu, tuczyć będziemy tylko raka, który zniszczy wkońcu wprost i drogą nadużycia funduszów publicznych państwo i społeczeństwo.

V. Błędny, samobójczy, nierealny i niemoralny jest wyznawany przez sfery gospodarcze aksjomat o rzekomej konieczności nieograniczonego rozwoju życia gospodarczego i związanej z tem dążności do bogacenia się w nieskończoność! Błędny jest duch, panujący w ekonomji naukowej wszelakich systemów, które wysilają się na to, aby niemal gwałtem, za wszelką cenę „uszczęśliwiać“ społeczeństwo przez wtrącanie go do złotej klatki.

Tę zachłanną, nawskroś niemoralną i w rzeczywistości nawet nieziszczalną tendencję musi porzucić zbyt usłużna zachłannemu kapitalizmowi nauka ekonomji. Wszak jasnem jest i bezspornem, że światem rządzi już nawet nie złoto, ale fikcyjny, do astronomicznych cyfr wyrastający i oczywiście nigdy niespłacalny, a więc na powszechnem, świadomem oszustwie oparty moloch kredytu. Świat upada pod jego ciężarem, nie pod ciężarem złota — które coraz mniejszą odgrywa rolę — ale pod ciężarem lekkomyślnych podpisów na różnych obligach, których suma i procenty zaczynają już znacznie przewyższać rentowność pracy gospodarczej, zwłaszcza gdy owoce większej części tej pracy zabiera dla siebie państwo.

Jakże w takich warunkach może być rozumnie mowa o bogaceniu się, a zwłaszcza bogaceniu się w nieskończoność? Natomiast muszą sfery gospodarcze uznać inny aksjomat, mianowicie przysłowie: według stawu grobla. Jak ten rozumny, oczywisty,

pozadyskusyjny aksjomat każdy poszczególny przedsiębiorca u siebie zastosuje, to jego rzecz. Uniwersalnego lekarstwa stwarzać niepodobna, skoro przecież każde przedsiębiorstwo w innych żyje i pracuje warunkach i odmienne ma przed sobą perspektywy. To jedno tylko możemy i musimy powiedzieć, że zginąć musi w Polsce ten rodzaj przedsiębiorców o podwórkowym horyzoncie i bardzo krótkim wzroku, którzy konwulsyjnie trzymają się swych dawnych, może całkiem już nieaktualnych przedsiębiorstw,przynajmniej nieaktualnych w obecnych rozmiarach i formie, i którzy, ślepi na wszelkie sugestje zdrowego rozsądku, twierdzą twardo i tępo, że nic więcej nie umieją i nie potrafią, jak tylko tkwić „wiernie“ w swej firmie, nawet nie przez siebie stworzonej, a więc nie stanowiącej dla nich umiłowanego owocu własnej pracy, lecz odziedziczonej bez żadnej osobistej zasługi od ojców i dziadów. Ten nieelastyczny gatunek ludzi, nieprzewidujących, niezaradnych, który zdobi się tylko prestiżem swej firmy rolniczej, przemysłowej, handlowej, lub bankowej, prawdziwi „Söhne der Firma“, nie umiejący przystosować się do realnych warunków i wymagań życia, znikną z powierzchni życia społeczno-gospodarczego, bo zniknąć muszą. Podobnie zniknąć muszą stopniowo wszyscy konjunkturalni kombinatorzy gospodarczy na krótką metę, gdyż poważne życie gospodarcze nie zniesie przez czas dłuższy oportunistycznych, z dnia na dzień zmiennych zabiegów.

W takiej grze konjunkturalnej, z dnia na dzień, wprawdzie niejeden *chwilowo* się wzbogaci, ale dostateczne już chyba doświadczenie wykazuje nam, że taki kombinator kończy prawie bez wyjątku bankructwem, niekiedy nawet samobójstwem lub kry-

minałem, a już conajmniej zapadnięciem się w szarą, nędzną wegetację.

VI. Walny upadek życia gospodarczego leży również w tem, że życie to oparło się na niemoralnym nawskroś światopoglądzie tak zwanego „trzeźwego interesu". Już z dawien dawna wyznawano w gospodarczej pracy zarobkowej, obok zasady uczciwości kupieckiej, równocześnie sprzeczną z nią zasadą, że interes niezawsze może być „ewangeliczny", czyli całkowicie zgodny z pojęciami etyki. Na odnośne zarzuty odpowiadano z uśmiechem zdawkową wymówką, że „interes jest interesem". Ale w naszych czasach materjalistyczne to hasło przebrało wszelką miarę.

W pogoni za zyskiem i opanowywaniem rynków ujawnia życie gospodarcze, zwłaszcza wielko-przemysłowe i wielko-finansowe, cynizm, nie liczący się z niczem, a faktycznie graniczący, lub nawet identyczny ze zbrodnią, popełnianą z wyrafinowaną premedytacją. Wszak dostatecznie stwierdzonym jest faktem, jakiemi metodami rosną i posługują się wielki przemysł i wielka finansjera zwłaszcza w potężnych mocarstwach. Nie mówiąc już o zawrotnych karjerach pewnych jednostek bez skrupułów, nawet regularnie rozwijająca się wytwórczość i handel podżegają niekiedy wyraźnie do wojen, wtedy nawet, gdy rządy państw, dyplomacja i sfery wojskowe wcale ich nie pragną. A w mniejszej skali ta niby trzeźwość, a w gruncie rzeczy bezwzględność wszechwładnego interesu tak jest niestety rozpowszechniona, że obniża poziom moralny i społeczny pracy gospodarczej wogóle, rzucając na nią niekorzystne, a przecież często niezasłużone światło.

Otóż w tej właśnie „nieewangeliczności", czyli poprostu niskiej etyce, rozpanoszonej nazbyt w życiu gospodarczem, a tolerowanej pobłażliwie nawet

w podręcznikach ekonomicznych, leży również jedna z walnych przyczyn chronicznego upadku gospodarczego, gdyż etyka jest i w tej dziedzinie, jak w każdej innej, zgodną z prawami przyrody, które są podstawą produkcji i wymiany gospodarczej. Rozwój więc życia gospodarczego, który idzie naprzód podstępem, gwałtem i brutalną przemocą, nie liczącą się nawet z życiem tysięcy jednostek, stanowi oczywiste pogwałcenie praw przyrody, a więc i naturalnych praw ekonomicznych. Nie może być więc na dłuższą metę twórczym, przeciwnie, musi à la longue działać niszcząco, wywoływać reakcje, rewolucje, kryzysy i usposabiać opinję ogółu wrogo przeciw kapitalistom i przedsiębiorcom, jaką dosłownie „krwiopijcom“. Nie można też objektywnie zaprzeczyć, że idea socjalistyczna ma w tym względzie wiele racji za sobą, oczywiście tylko idea, bo w praktyce każdy socjalista myśli o swych interesach gospodarczych identycznie ze zwalczanym przez niego wyznawcą kapitalizmu prywatnego.

Dlaczego jedna i to wielce twórcza strona egzystencji i pracy ludzkiej ma wciąż dźwigać na sobie piętno nieetyczności, niejako fachowo do niej przywiązane, gdy w innych dziedzinach żąda się od człowiek wysokiej moralności, etyki, honoru, poświęcenia i t. d.? Dlaczego ten sam człowiek ma być innym w życiu domowem, naukowem, lub społecznem, a innym w dziedzinie gospodarczej? Tu tkwi jeden z najważniejszych błędów schorzałego kapitalizmu, który albo musi się naprawić, albo kapitalizm prywatny zaniknie stopniowo w kapitalizmie państwowym i doktrynach społecznego przymusu.

Płaski, brutalny, bezwzględny, a w ostatecznych swych skutkach pogrążający społeczeństwo w niedolę kapitalizm prywatny na starodawną modłę, nie uznający w gruncie rzeczy niczego poza tańcem

koło złotego cielca, wraz z tą jakąś specjalną etyką „kupiecką", która idzie obok zwykłych prawideł etyki, muszą być poddane także gruntownej rewizji i obalone zapomocą odpowiednio silnej propagandy, bo w przeciwnym razie schodzić będą coraz bardziej na manowce, z coraz większą szkodą dla pojęcia własności prywatnej i dla społeczeństwa. Nie błaha to rzecz, nie ideowa, nie metafizyczna, ale bardzo realna!

VII. Dalszym rezultatem zapoznania właściwej roli życia gospodarczego i symptomem wyścigu „bogacenia się w nieskończoność" za wszelką cenę jest zjawisko, zaobserwowane przez nas już dawno i opisane w tem wydawnictwie pod obrazową nazwą: dyktatura produkcji.

Jest to dyktatura, wykonywana właściwie bez niczyjej premedytacji, ani złej woli, ale nie mniej faktyczna dyktatura producenta nad konsumentem; a ponieważ role producenta i konsumenta w różnych dziedzinach zbiegają się zwykle w jednej i tej samej osobie, więc jest to raczej dyktatura społeczeństwa nad samem sobą, wywołana stanowczą wadliwością ustroju gospodarczego i zachłannych, a nierealnych pretensji różnych działów gospodarki.

Weźmy, dla lepszej ilustracji, wyidealizowany przykład działania tej dyktatury. Wytwórca, widząc zmniejszenie się obrotów swego przedsiębiorstwa, rozpoczyna intensywną propagandę zbytu. Mentalność jego nie jest skierowana na obserwację faktycznego położenia gospodarczego w kraju, ani na jakiekolwiek inne sposoby wyjścia z coraz trudniejszego położenia, ale tylko na podtrzymanie status quo fabryki za wszelką cenę. Narzuca więc wytwórca konsumentowi swój towar, np. materjał na ubranie. Konsument odpowiada, że chętnieby kupił, ale w danej sytuacji brak mu na to pieniędzy. Wówczas wy-

twórca zwraca się różnemi drogami, bezpośrednio, lub pośrednio przez jakieś instytucje, do rządu o podtrzymanie jego przedsiębiorstwa, tracącego klientelę, z funduszów czy kredytów publicznych. Rząd, mając przed sobą i bez tego budżet, z wielkim wysiłkiem, a nieraz i z deficytem zbudowany, odmawia z początku tej pomocy, twierdząc słusznie, że to nie jego rola, nie zadanie państwa, gdyż ryzyko przedsiębiorcy jest ryzykiem prywatnem. Wówczas zagraża wytwórca perspektywą zamknięcia fabryki dla braku zbytu i wyrzuceniem na bruk setek, czy nawet tysięcy robotników, a więc kwestją socjalną. I to wywiera skutek. Rząd, uginając się przed widmem kwestji socjalnej, spieszy fabryce z pomocą finansową. Niewiele ona pomoże przedsiębiorstwu, które straciło w znacznym stopniu klientelę, przeciwnie, zwiększa tylko ciężar jego długów i zmniejsza dochody. Ale skąd czerpie rząd fundusze na takie sztuczne podtrzymywanie zdezaktualizowanych przedsiębiorstw? Oczywiście z kieszeni ogółu, a więc owego konsumenta, drogą różnych świadczeń normalnych i kryzysowych.

Tak więc sprawa kończy się absurdalnym rezultatem, niekorzystnym dla wszystkich zainteresowanych czynników: konsument nie był wstanie nabyć nowego ubrania, ale musi wytwórni drogą przymusowych świadczeń publicznych za nie zapłacić, wytwórca obciążył nowym długiem swą fabrykę i wprawdzie chwilowo spłacił pewne zaległości, ale nie zyskał nowej klienteli, nie powiększył zbytu i przyspieszył tylko moment swego bankructwa; a państwo swą błędną polityką „szpitalną" wydało pieniądze na marne i grozi mu, jako wierzycielowi, ciężar przejęcia nieżywotnego zakładu wraz z przyczepioną do niego masą urzędników i robotników! Przykład to wprawdzie obrazowy, ale bardzo zbli-

żony do rzeczywistości. Czy taka dyktatura produkcji nad rządem, konsumentem i funduszem publicznym odpowiada rzeczywiście zdrowym zasadom kupieckim i zdrowemu rozsądkowi wogóle? Czy takim absurdem na wszystkie strony może dźwignąć się na serjo życie gospodarcze? Jesteśmy pewni, że nie i stąd też wynikają dalsze nasze tezy.

VIII. Nie wolno z funduszów publicznych, a więc kosztem i ze szkodą państwa i społeczeństwa, podtrzymywać sztucznie, a w ostatecznym rezultacie daremnie, przedsiębiorstw prywatnych, które całkiem, albo przynajmniej w dotychczasowych rozmiarach, straciły zbyt i żywotność — stały się dla konsumcji zbędne lub, co na jedno wychodzi, przekraczają granice siły nabywczej społeczeństwa w danej epoce.

IX. Nie wolno przedsiębiorstwom prywatnym, osłabionym lub zdezaktualizowanym wskutek niepraktycznej gospodarki, albo niekorzystnej ewolucji warunków zbytu, ratować się przez oddawanie się etatyzacji w jakiejkolwiek formie, gdyż na nieco dłuższą metę nic to danym przedsiębiorstwom nie pomoże, a natomiast ściąga na kraj niebezpieczeństwo socjalizacji i to daleko prędzej i skuteczniej, niżby była wstanie dokonać tego samo ideologja socjalistyczna. Stwierdzić należy objektywnie, że obecnie w Polsce największymi propagatorami — choć mimowolnymi — etatyzmu, będącego zawsze pierwszym etapem do socjalizacji, nie są bynajmniej ani czynniki rządzące, ani organizacje socjalistyczne i radykalne wogóle, ale same sfery gospodarcze wskutek swej dziwnej, nawskroś niekupieckiej tendencji galwanizowania trupów i podtrzymania status quo nawet wobec widocznej perspektywy zniszczenia prywatnej inicjatywy i pracy gospodarczej.

X. W życiu gospodarczem, zdrowo pomyślanem, winno decydować, jak w całej przyrodzie, prawo naturalnej selekcji, a natomiast niezdrowa zasada *forsownego* podtrzymywania przedsiębiorczości, a więc w gruncie rzeczy spekulacji gospodarczo-zarobkowej, winna być stanowczo porzucona. Nieprawdą jest, że przez zanik różnych, w istocie zbędnych lub ponad potrzebę produkujących warsztatów gospodarczych, państwo i życie gospodarcze ponosi szkodę! Wprost przeciwnie, uwalnia się tylko od niepotrzebnego balastu, rynek oczyszcza się zbawiennie, stosunki regulują się i każda branża gospodarcza, dostosowując się do istotnych potrzeb zbytu (oczywiście nie zgubnego w skutkach zbytu dumpingowego i wogóle premiowanego), zyskuje tem solidniejsze podstawy egzystencji.

XI. Z powyższego wynika kategoryczny postulat zdrowego państwowego i gospodarczego rozsądku, że inicjatywie prywatnej trzeba wprawdzie z jednej strony stwarzać w kraju możliwie korzystne warunki rozwoju, ale nie wolno, pod sankcją szkodliwej petryfikacji panującego upadku gospodarczego, podtrzymywać zbędnych inicjatyw i nadmiaru produkcji z funduszów publicznych.

XII. Najdrażliwszem w oczach sfer gospodarczych zagadnieniem, a więc i jednym z największych szkopułów na drodze przezwyciężenia kryzysu, jest sprawa handlu.

Otóż, mimo wszelkich zaprzeczeń ze strony sfer handlowych, zahipnotyzowanych zgoła fałszywym i samobójczym solidaryzmem zawodowym, nie ulega najmniejszej kwestji, że Polska cierpi przedewszystkiem na nadmiar handlu, a ściślej mówiąc: na nadmiar handlowania i ludzi handlujących, w najszerszem tego słowa znaczeniu. Widzą to wszyscy, w handlu bezpośrednio niezainteresowani, przyzna=

ją to światlejsi handlowcy, a stwierdzili to kolejno z trybuny sejmowej wszyscy ministrowie skarbu w ostatnich latach, mimo różnic swych poglądów na inne sprawy gospodarcze.

Nadmiar handlowania i pośredników wszelakiego typu i kalibru obciąża mnóstwo towarów, nawet pierwszej potrzeby, na drodze, bardzo nieraz długiej i niepotrzebnie skomplikowanej, między producentem a konsumentem. A powtóre, za dużo jest w kraju, jak na stosunkowo ubogie jego warunki, przedsiębiorstw i przedsiębiorstewek handlowych — nie mówiąc już o pokątnem pośrednictwie — z każdej poszczególnej branży.

Ten stan rzeczy sprawia, że z jednej strony produkcja mało, albo i wcale się nie opłaca, bo ciężar zbędnego pośrednictwa przygniata ceny, płacone przez nie produkcji, z drugiej zaś śrubują się nadmiernie w górę ceny detalicznego zbytu. Znane przykłady: gęś na wsi dostać można łatwo za 2 zł., w sklepie miejskim kosztuje 8 zł. i to pozbawiona już pierza. A więc handel, po odciągnięciu kosztów przewozu, zarabia tu około 400 procent. Świnia stukilowa idzie na wsi po 10 zł., a kilo mięsa wieprzowego w mieście przeciętnie po 2 zł., więc pośrednictwo i rzeźnia (bo cena transportu mniej wchodzi w rachubę) zarabiają około 2000 procent. I t. d.

Giną olbrzymie te zyski, oczywiście rozdrobnione między mnóstwo rąk, w całkiem zbędnem pośrednictwie, hamując dotkliwie życie gospodarcze i pogłębiając beznadziejnie kryzysowe stosunki. Z drugiej strony roi się w każdem polskiem mieście i miasteczku od sklepów tej samej branży na tej samej ulicy. W takich warunkach nie mogą one wszystkie — oprócz wyjątków — liczyć na większą klientelę i wiodą marny żywot, bankrutując raz po raz według pewnego tragikomiczego prawa cyklu:

zegarmistrz — jubiler — sklep konfekcyjny — sklep galanteryjny i z zabawkami — wypożyczalnia książek — chwilowo modna cukiernia — masarz lub rzeźnik, który stosunkowo najdłużej się utrzymuje, a wreszcie i on bankrutuje i miejsce jego zajmuje ostatecznie jakiś sklep monopolowy, z etatystycznym orłem na szyldzie, a płatnym funkcjonarjuszem wewnątrz. Taki jest mniejwięcej „cykl bankructwa“ sklepów detalicznych wskutek nadmiaru pośrednictwa i nadmiernie przez nie podbijanych cen.

A w ostatecznym rezultacie prawdziwy handel polski nie może się rozwinąć. Znawcy twierdzą, że prawie nie masz w kraju dobrze prosperujących poważnych firm handlowych z rodzimym kapitałem. Przyznają to sfery handlowe, ale biada temu, ktoby chciał zaatakować w imię dobra handlu i zdrowego sensu ten panujący „ustabilizowany system“ nadmiaru pośrednictwa! Na pierwsze wyrzeczone słowo ma przeciw sobie odrazu zjednoczony front wszystkich handlowców. Każdy najmniejszy sklepik, każdy najzbędniejszy pośrednik ma swoje zarezerwowane, uświęcone miejsce w tym niewzruszalnym systemie i wszystko inne raczej wolno w państwie zaatakować i skrytykować do cna, tylko nie ów system i prawa nabyte nadmiernego, sproletaryzowanego i jak rak żrącego organizm państwowy handlu. Dopóki jednak nie będzie z tem energicznie zrobiony porządek, dopóki w tę dziedzinę — w tę jedną w każdym razie — nie wkroczy z konieczności na chwilę państwo i w jakiś racjonalny sposób nie unormuje kwalifikacji do pośrednictwa wszelkiego rodzaju, nie zapobiegnie nadmiarowi sklepikarskiemu i nie zacznie ścigać skutecznie wszelkiego pokątnego pośrednictwa, a przedewszystkiem dopóki społeczeństwo samo sobie nie dopomoże, skracając znacznie drogę między producen-

tem a konsumentem, dopóty znowu nie będzie mo= gło być rozsądnej dyskusji o odrodzeniu i wzmoże= niu handlu polskiego na poważną skalę.

Zawiniła i tu trochę ekonomia naukowa, idąc zbyt posłusznie na pasku pretensji sfer gospodar= czych i nazywając handel twórczym. Stąd w orga= nicznej konsekwencji wyrosła megalomanja handlo= wa i nadmiar pośrednictwa, zgarniający z całego cyklu produkcji całkiem nieproporcjonalne do swych istotnych usług zyski. Dzisiaj, w okresie oświecenia i otrzeźwienia, obalmy legendę i po= wiedzmy szczerą prawdę: handel wcale nie jest twórczy, bo żadnego towaru nie stwarza, a jest tyl= ko w odpowiednich granicach potrzebny dla ułat= wienia wymiany produkcji. Można go w pewnych wypadkach nazwać twórczym w przenośni, jeżeli przyczynia się do podniesienia cywilizacji w kra= jach, kulturalnie bardzo zacofanych i to z tem za= strzeżeniem, że nie wyzyskuje nieświadomych tubylców, sprzedając im tandetę w zamian za wysokowartościowe płody i nie szerzy wśród nich zepsucia, zachęcając do odbioru swych towa= rów szerzeniem najgorszych stron cywilizacji. Ale w przeciętnie cywilizowanym kraju handel nie two= rzy, lecz tylko ułatwia, przez co wprawdzie też bar= dzo ważną w gospodarstwie odgrywa rolę, ale tyl= ko pod warunkiem, że ogranicza się do rozmiarów istotnej potrzeby i nie chłonie w sobie lwiej części zysków produkcji z jednej, a dochodów z pracy konsumenta z drugiej strony. W żadnym razie nie należy traktować handlu, jako zawodu i celu same= go w sobie, ale jedynie tylko w roli oleju smarowe= go, który ma ułatwiać ruch machiny gospodarczej. Inaczej staje się branża handlowa polipem, który nieproduktywnie wysysa soki żywotne ze społe= czeństwa i przygniata je swym ciężarem.

---

Dopiero, gdy powyższe zasady uznane zostaną przez prywatne sfery gospodarcze, oczyszczą je z przestarzałej chińszczyzny systemu ustabilizowanego i otworzą okna kantorów i warsztatów gospodarczych na dopływ odświeżającego powietrza, wówczas — a raczej równocześnie z tem — wystąpić będą mogły te sfery, nowocześnie zreorganizowane i z racjonalnem nastawieniem, skutecznie do walki z niemniej przestarzałym, srodze wybujałym i niszczącym owoce pracy społeczeństwa systemem fiskalnym. Walka z tym systemem jest także i dlatego niezbędna, że w panujących warunkach nadmiernego ciężaru świadczeń publicznych i skrępowania pracy zarobkowej przez fiskalizm i przymusowe „dobrodziejstwa społeczne“ na wszystkich polach, prawdziwy obraz gospodarstwa narodowego jest zupełnie wykrzywiony i rozumującego logicznie obserwatora do błędnych nieraz doprowadzić może wniosków. Dotyczy to zwłaszcza walnego problemu, które przedsiębiorstwa i o ile nie są żywotne i nie odpowiadają istotnym potrzebom społeczeństwa? Tego niepodobna wszędzie apodyktycznie rozstrzygnąć w życiu gospodarczem, w którem zarówno producent, jak i konsument przytłoczeni są nadmiarem świadczeń publicznych.

Możliwem stanie się to dopiero, gdy gospodarstwo narodowe w kraju wystąpi w swej prawdziwej postaci. Aby to osiągnąć, wypowiedzieć należy walkę konsekwentną, zdecydowaną, z całą świadomością celu, ugruntowanemu systemowi świadczeń publicznych. Nie należy jednak wymierzać ataku w zewnętrzne symptomy i skutki tego systemu, bo to oczywiście nic nie pomoże, ale w same jego korzenie. Próżne więc są ataki na państwowy aparat fiskalny, na szczegóły systemu podatkowego i na inne zewnętrzne rezultaty dalcko głębiej tkwiącej

choroby. Trzeba natomiast uderzyć w korzenie te=go systemu, chcąc głębszą i trwałą wywołać refor=mę, mianowicie w same podstawy, pojęcia i naukę o skarbowości. Na tej bowiem głębszej podstawie, opartej o różne autorytatywne, naukowymi argu=mentami poparte twierdzenia różnych mistrzów, oparł się i bujnie rozwinął nowoczesny, nadmiernie przerosły aparat fiskalny w najszerszem tego poję=cia znaczeniu, a więc nietylko państwowem, ale i sa=morządowem i wszelkich innych przymusowych świadczeń publicznych. Nowoczesna etatyzacja roz=dmuchała ten aparat do gigantycznych rozmiarów. Niemasz już prawie żadnej rzeczy, żadnego gestu jednostki w państwie, które nie byłyby opodatko=wane i to nieraz kilkakrotnie opodatkowane. Krót=ko mówiąc, dzisiejszy człowiek cywilizowany nie może urodzić się, ani żyć, ani umrzeć bez asysty egzekutora podatkowego, który ściga go faktycznie aż poza grobową deskę.

Otóż na wszystkich innych polach zaznaczył się w ostatnich stukilkudziesięciu latach olbrzymi, nie=bywały przedtem postęp. Porównajmy tylko, dla przykładu, starodawne, na początku tego okresu ka=roce podróżne z dzisiejszymi samolotami, osiągają=cymi szybkość kilkuset kilometrów na godzinę, a miara tego ogromnego postępu stanie nam wyraź=nie przed oczyma. I tak jest wszędzie — za wyjąt=kiem jednej jedynej dziedziny: wiedzy fiskalnej. Wiedza ta, głoszona z katedr uniwersyteckich, sta=nowiąca przedmiot egzaminów i warunek uzyskiwa=nia naukowych patentów, stoi w najgłębszej swej istocie na tym samym poziomie, na którym zbudo=wała ją prastara „wiedza kameralna“ w epoce for=mowania się ostatecznego państwowych aparatów administracyjnych, a więc mniejwięcej w XVIII=ym wieku. Od tego czasu nic w niej nie szło w prawdzi=

wym duchu postępu, ale przeciwnie, postęp w nauce o skarbowości jest w istocie wsteczny, wyraża się coraz większem cofaniem się w różne przykłady z zamierzchłych czasów bezwzględnego, bezmyślne=go i rujnującego ludność i samo państwo fiskalnego ucisku. To, co po dziś dzień nauka skarbowości umiała wymyśleć resp. argumentami naukowymi zaaprobować, nie różni się w praktyce niczem od brutalnego wymuszania kijem i więzieniem nad=miernych podatków od ludności, o czem czytamy z oburzeniem w historji starodawnych tyranji i absolutyzmu, poczynając od epoki faraonów. Wszak ujawniły nam hieroglify — o czem Nasza Przyszłość pisała przed paru laty — co w starożyt=nym Egipcie robiono z podatnikami, pognębionymi kryzysem (bo już wówczas panowały długie epoki kryzysu) i jak konfiskowano im resztki mienia w imię dobra państwa i ojczyzny. Tylko, że czynio=no to bez naukowej aprobaty wiedzy ekonomicznej, wykładanej na wyższych uczelniach i uzbrojonej w usłużną fiskalizmowi państwowemu moc nauko=wych argumentów. Zdumiewamy się i oburzamy, czytając o „niemożliwych" stawkach podatkowych w różnych późniejszych czasach, najwidoczniej ruj=nujących ludność i państwo, np. w Hiszpanji po od=kryciu Ameryki.

A cóż innego wymyśliła i zasugerowała nowo=żytnemu państwu, a zwłaszcza rządzącym niem na=przemian demagogji i etatyzmowi, nowoczesna wie=dza fiskalna? Zasugerowała im, lub przynajmniej toleruje — zasadniczą możliwość wielokrotnego opodatkowania dochodu społecznego *aż do wyso=kości ponad 100 procent* oraz faktycznej konfiskaty dorobku całego życia i mienia. Żadnego innego po=stępu w tej gałęzi wiedzy nie widać. Jeżeli gdzienie=gdzie następuje w tym miażdżącym systemie chwi=

lowa ulga, to powoduje ją raczej sam aparat fiskalny, a więc rząd, licząc się rozumnie z możliwościami, ale nie zdecydowany, zgodny, zbiorowy głos nauki o skarbowości.

A jest to sprawa kapitalnego znaczenia. Bo gdyby nauka o świadczeniach obywatela na rzecz państwa ustaliła rozumne reguły, poparte zgodnym autorytetem wiedzy, to wszelkie nadmierne ciężary, nakładane na ludność przez instytucje publiczne pod wpływem czy to demagogji, czy etatyzmu, czy przerosłego fiskalizmu, nabrałyby charakteru wybryku lub nadużycia władzy, sprzecznego z podstawami nauki, a przez to samo słabszą miałyby podstawę i w epokach otrzeźwienia łatwiej dałyby się zreformować. Ale jakże tu myśleć na serjo o reformie, kiedy z murów uniwersyteckich wypadają co roku na kraj gromady ludzi z patentami na uczonych i urzędników, przepojone tak zaśniedziałemi pojęciami o stosunku finansowym państwa do obywatela, że nowoczesny, trzeźwy objektywizm i logika załamują się przed taką argumentacją zupełnie!

Ciekawa, ale niezmiernie smutna sprzeczność, która dotkliwie odbija się na ludzkich grzbietach i kieszeniach: z jednej strony pcha nas nauka ekonomji politycznej niemal gwałtem do bogacenia się w nieskończoność, wsadzając nas przymusowo do złotej klatki różnorodnych systemów bogacenia się i dobrodziejstw społeczno-gospodarczych, z drugiej strony nauka skarbowości, będąca działem tejże ekonomji, oplata nas zewsząd prawdziwemi ramionami plipa i nietylko uniemożliwia osiągnięcie ekonomicznego ideału, ale rujnuje nas ze szczętem wśród powodzi przemądrych egzaminowych argumentów!

Niechże poważni fachowcy zastanowią się choć przez jedną sekundę nad tą tragikomiczną antytezą,

na której w żadnym razie nie podobna — nawet w teorji, a cóż dopiero w praktyce! — budować racjonalnych podstaw gospodarczych państwa i społeczeństwa, a która natomiast daje najszersze pole do wszelkich ustawodawczych i wykonawczych nadużyć fiskalnych, mogących każdej chwili powołać się na autorytet „najnowszych zdobyczy wiedzy"!

Reasumując narazie powyższe, ustalić musimy:

XIII-ą zkolei tezę, że bez gruntownej rewizji szeregu podstawowych twierdzeń i argumentów wiedzy ekonomicznej, a zwłaszcza skarbowości, w duchu prostej logiki i praktycznego objektywizmu wszelkie wysiłki uzdrowienia gospodarstwa krajowego muszą być daremne.

A są w tych naukowych twierdzeniach i definicjach jedne rzeczy wprost zabawne — gdyby w rezultatach swych praktycznych nie były smutne — a inne znów tego rodzaju, tak głęboko zakorzenione w pojęciach uczonego i administracyjnego ogółu, że ciężką trzeba będzie i może długoletnią stoczyć walkę, aby choćby tylko w zasadzie pojęciami temi módz wstrząsnąć, nie mówiąc już o urzeczywistnieniu odnośnych reform w praktyce.

Do pierwszej kategorji — tragikomicznych twierdzeń wiedzy skarbowej — należy np. naukowe uzasadnienie podatku spadkowego: „Choćby podatnik jaknajuczciwiej przez całe życie płacił wszelkie należytości podatkowe, z zupełną zgodą i aprobatą władz podatkowych, to jednak w teorji możliwe są wypadki, że zarówno płatnik, jak i władza podatkowa omylą się wspólnie w oszacowaniu prawdziwej gospodarczej wartości mienia płatnika w danym okresie, słusznem jest przeto, żeby za płatnika zapłacili jego spadkobiercy pewną kwotę dla zadośćuczynienia na wszelki wypadek ewentualnemu

uszczerbkowi dochodów państwa, który wskutek wyżej wymienionej, teoretycznej możliwości mogło państwo ponieść, mimo najlepszej wiedzy i woli zarówno płatnika, jak i władzy skarbowej".

Prosimy zajrzeć do naukowych opdręczników, jeżeli ktoś nie wierzy. Takie absurda, taka przerafinowana, iście chińska „sprawiedliwość", płyną z katedr uniwersyteckich, młodzież zdaje z nich egzamina w niby oświeconym XX-tym wieku i stanowią one podstawę organizacji nowoczesnego aparatu fiskalnego! Bo gdyby chodziło o płatnika niesumiennego lub choćby przynajmniej podejrzanego, to jeszcze bez wyraźnych dowodów uszczerbku dla skarbu ściągania podatku spadkowego, jako wyrównawczego paljatywu, nie powinnaby wiedza naukową zalecać. A cóż dopiero, jeżeli zaleca ściągnięcie pokaźnej kwoty—którą etatyzm lub radykalizm społeczny jeszcze wielekroć oczywiście podwyższają — od płatnika sumiennego, dla zadośćuczynienia jakiejś teoretycznej fikcji! Rozum kapituluje, wszelka logika załamuje się wobec takiego absurdu...

A do drugiej kategorji, daleko poważniejszej i trudniejszej do zwalczenia, należy sama koncepcja podatku. Obłożono i obstawiono wszelką pracę ludzką mnóstwem podatków i opłat publicznych wszelakiego rodzaju: a więc podatkiem dochodowym, gruntowym, od nieruchomości, od niektórych ruchomości, od przestrzeni, w której człowiek żyje (podatek lokalowy), obrotowym i t. d., i t. d. Do obliczania, wymierzania i ściągania tych, tak nadmiernie zróżniczkowanych świadczeń, stworzono olbrzymi, ciężki aparat fiskalny, który sam pochłania znaczny procent sum, jakie ściąga. A tymczasem według prostej logiki, wyzwolonej z więzów panującej chińszczyzny, płatnik uiszcza przecież wszystkie te podatki w gotówce, którą zarabia, a więc ze swego do-

chodu. Wyjątki ulgowych opłat w naturze są rzadkie, tak, że nie wchodzą w rachubę. Przecież dla uiszczenia np. podatku gruntowego ma wpłacić płatnik pewną ilość gotówki, a nie pewną ilość fur ziemi. Podobnie nie można uiszczać podatku z kamienicy kawałkiem jej muru, ale również gotówką.

Cóż z tego wynika logicznie? Oczywiście to, że każdy podatek bezpośredni można płacić tylko od swego dochodu w gotówce. Dlaczego więc nie uprościć wszystkich podatków bezpośrednich logicznie i praktycznie w jeden jedyny podatek dochodowy? Niech ten podatek będzie nawet wysoki, jeżeli istotne potrzeby państwa tego wymagają! Ale jakież przez to nastąpiłyby uproszczenia i oszczędność w całym aparacie fiskalnym i o ileż tak skomasowany podatek byłby sprawiedliwszy! Bo wówczas przedstawiłby się władzom skarbowym i wogóle rządzącym w państwie czynnikom istotny zarobek z pracy społeczeństwa i wymiar podatku byłby właśnie przez to racjonalniejszy i nie mógłby tak podstępnie kapitału i dochodu, a więc i majątku narodowego, przeciążać i rujnować, jak to zbyt przemyślnie czyni dotychczasowy, wieloramienny polip podatkowy, którego każde ramię wysysa osobno ten sam dochód społeczny, ale pod różnemi nazwami, niby jedno nie wiedząc o drugim.

Energiczny protest, jeżeli nie wprost bunt podniósłby się w całem państwie, gdyby władze fiskalne wymierzały więcej, niż połowę, albo nawet i większą, niż cały dochód, kwotę jednolitego podatku dochodowego. Biłoby to zbyt jaskrawo w poczucie sprawiedliwości, logiki i dobrze zrozumianego interesu państwowego. Przy zróżniczkowaniu natomiast podatku na szereg rodzajów świadczeń, płaconych od różnych rodzajów dochodu i majątku w różnych terminach, pod osobnemi nazwami, całość wymiaru

podatkowego nie bije tak dalece w oczy i dlatego nie oburza w zbyt wysokim stopniu opinji publicznej. Niemniej jednak rujnuje gospodarstwo krajowe, szkodzi na nieco dłuższą metę wybitnie samemu skarbowi państwa przez tamowanie normalnego rozwoju gospodarczego i kapitalizacji, hamując równocześnie najdotkliwiej postęp cywilizacji i kultury i ducha przedsiębiorczości i zaufanie do państwa i ducha patrjotyzmu.

Dlatego, narażając się śmiało na wszelką krytykę, zarówno naukową, jak ze strony fiskalistów, wysuwamy

XIV-tą tezę, że skoro wszelki podatek bezpośredni płacony jest w gotówce, więc wszystkie jego rodzaje winny być ściągnięte w jeden podatek dochodowy i to wymierzany oczywiście na podstawie pewnego, racjonalnie i sprawiedliwie zdefinjowanego pojęcia prawdziwego dochodu, po odciągnięciu tego, co w dochodzie brutto nie jest żadnym zyskiem, ale tylko ciężarem oraz przy ustaleniu prawdziwie patrjotycznego aksjomatu, że nie po to utrzymujemy państwo nowożytne, aby nas to państwo w imię jakiejś wypaczonej fikcji „ojczyzny“ systematycznie rujnowało.

XV. Z powyższego wynika w prostej konsekwencji następna teza, że fiskalizm publiczny — państwowy, samorządowy, czy inny — nie ma prawa niszczyć lub zmniejszać obywatelowi substancji majątkowej, ani warsztatu pracy, za wyjątkiem wyegzekwowania zaległości w świadczeniach, wynikłych z winy płatnika. Ale, aby państwo nie ponosiło winy w powstawaniu zaległości, winno wymierzać tylko taki podatek, który nie przewyższa zdolności płatniczej obywatela, pozostawiając mu możliwie obfite środki utrzymania i gospodarczego oraz kulturalnego rozwoju.

XVI. Z tego wypływa w konsekwencji dalsza teza o konieczności w obecnych czasach podjęcia pewnej psychicznej rewizji pojęcia „ojczyzny“, które zbyt było dotąd uczuciowo, niemal metafizycznie ujmowane, zwłaszcza w Polsce, wskutek katastrofy rozbiorów. Takie bowiem problemy psychologicznej natury bynajmniej nie są obojętne dla realizmu spraw gospodarczych. Pozornie bardzo niby przyziemna i trzeźwa praca gospodarcza wrażliwa jest w daleko większym stopniu na kwestje psychicznego nastawienia, niż się to na powierzchowny rzut oka wydaje. Od ustosunkowania się więc świadomego, czy podświadomego do pojęcia ojczyzny ze strony zarówno rządzących, jak i rządzonych, zależy integralnie system świadczeń obywatelskich na rzecz państwa, a więc i losy rozwoju życia gospodarczego.

Przy pełnem więc uznaniu dla moralnej i uczuciowej strony pojęcia ojczyzny i w niemniej pełnem uznaniu konieczności odpowiedniej dyscypliny państwowej, a w szczególności zasady silnej władzy, należy jednak uznać również, że w oświeconych, na objektywiźmie opartych pojęciach XX-go wieku koncepcja ojczyzny, jako niszczącego obywateli molocha, nigdy nienasyconego, wrogiego w istocie korzyściom jednostki i dla którego ta jednostka *stale* wszystko poświęcać musi — nie licząc rzeczywiście niezbędnej w pewnych wypadkach daniny krwi i mienia — utrzymać się już szczerze i uczciwie nie da. Zanadto dalecy jesteśmy już dzisiaj od wyśrubowanych pojęć romantyzmu. Czcimy państwo i chcemy je mieć silnem, ale z drugiej strony mamy prawo stanowczo żądać od ojczyzny, żeby nam była matką, a nie macochą. Nie da już utrzymać się pojęcie miłości ojczyzny ustawicznym strachem przed przymusem policyjnym i władzą podat-

kową. Ojczyzna, poza malowanymi wizerunkami orła, nie może symbolizować się nam codziennie w postaci poborcy podatkowego, czy samorządowe-go, czy ubezpieczeniowego, który chce nas ze wszy-stkiego ogołocić i podejrzliwie wietrzy, czy nie znaj-dzie jeszcze czegoś, coby nam mógł zabrać. Absur-dalny jest stan rzeczy, w którym, poza chwilowymi porywami, wywoływanymi sztucznem podniece-niem przy różnych okazjach, jedyną realną myślą obywatela o ojczyźnie — prawdziwie realną i praw-dziwie szczerą — jest nieustanna groza przed nad-miernemi świadczeniami i nieustanna troska, jakby tym świadczeniem zadośćuczynić pod sankcją już nie dotkliwej grzywny, ale wprost utraty majątku, warsztatu i powszedniego chleba. Okres zaborczy minął i obecnie ludzie mogą i powinni trzeźwiej my-śleć o ojczyźnie. Wypowiadamy tu więc śmiało to tylko, co dzisiaj wszyscy już czują, chociaż nie wszyscy mają odwagę jasno rzecz postawić, że nad-mierny fiskalizm, sięgający z niszczącą zachłanno-ścią w najdrobniejsze komórki organizmu państwo-wego, obrzydza nam pojęcie ojczyzny. Czy może ktoś, czytając niniejsze słowa, zaprzeczyć nam, że tak nie jest?

I dlatego pewne racjonalne otrzeźwienie na tym punkcie jest niezbednem podłożem dla wszelkich, prawdziwie skutecznych zamierzeń uzdrowienia ży-cia gospodarczego.

Ale ów wykrzywiony symbol ojczyzny wystę-puje wobec obywateli stosunkowo słabiej jeszcze w wielu wypadkach, jako fiskalizm państwowy, niż pod dwoma innemi, jeszcze dotkliwszemi „ojczyste-mi“ postaciami, które rozrosły się do niesłychanie przykrych rozmiarów, mianowicie fiskalizmu samo-rządowego, oraz przymusowych dobrodziejstw spo-łecznych. W tym zakresie stawiamy kategorycznie

XVII-ą tezę, że obie te instytucje w niepodległej, a zmuszonej do oszczędności Polsce stanowczo zniknąć powinny. Samorząd bowiem terytorjalny, przewyższający cechami biurokratyzmu i często wadliwej a kosztownej gospodarki znacznie biurokrację państwową, daleko sprawniej działającą, mógł być pożądaną zdobyczą polskości w czasach zaborczych. Ale w niepodległej Polsce niema już w głębszej istocie rzeczy racji bytu, bo nie możemy dopatrzeć się żadnej zasadniczej różnicy między okienkiem dla stron w polskim urzędzie państwowym, a podobnem okienkiem w polskim urzędzie samorządowym, z tą może tylko odmianą, że praktycznie jest stwierdzonem daleko szybsze i sprawniejsze załatwianie sprawy w pierwszem, a biurokratyczniejsze i powolniejsze w drugiem. Dlaczego więc utrzymywać w państwie podwójny aparat i podwójnie za jego utrzymanie płacić? Fikcja uczuciowa, oparta w istocie na bezkrytycyźmie i przestarzałej koncepcji, która jednak srodze kosztuje! Jakże odetchnąłby kraj cały i gospodarstwo narodowe, a i sam nawet skarb państwa, gdyby trzeźwa polska myśl, godna nadchodzącej już połowy dwudziestego wieku, zniosła ten zabytek uczuciowej chińszczyzny, jaką jest samorząd terytorjalny! Wszak dany kawałek szosy może równie dobrze kazać zbudować starosta, jako naczelnik urzędu państwowego, jak tenże sam starosta w charakterze przewodniczącego wydziału powiatowego. Po co więc dublować rozrzutnie aparat biurokratyczny? Ale i tu przełamać trzeba pewien „system ustabilizowany".

A co się tyczy przymusowych dobrodziejstw w postaci ubezpieczeń wszelkiego rodzaju, to byłyby to może i dobrodziejstwa, gdyby — nie były przymusowe. Kto chce się ubezpieczyć, dla tego niech istnieje odpowiednia, sprawnie funkcjonują-

ca instytucja, ale na jakiej podstawie zaprowadzono dla wszystkich prawdziwe niewolnictwo ubezpieczeniowe? Płacić przymusowo na państwo, to oczywista konieczność, ale płacić na ubezpieczenia, z których nie chce się korzystać, to przecież czysto socjalistyczna zasada społecznego przymusu, którą wprowadzili u nas socjaliści dla swych celów partyjno-politycznych, aby ssać tem lepiej z kraju pieniądze na wybory i inne swe cele, a której nie miały jakoś odwagi i decyzji znieść następne rządy, nawet te, które partję socjalistyczną rozgromiły. Usunięto partję od władzy, ale cóż z tego, kiedy utrzymano, ba, nawet nowemi reformami utrwalono jej urządzenia, będące najjaskrawszym wyrazem doktryny społecznego przymusu!

Niech państwo utrzymuje instytucję ubezpieczeń, oczywiście wzorową, nie obciążaną ustawicznemi skargami samych ubezpieczonych i tragikomicznymi absurdami, jakie się tam po dziś dzień dzieją, ale pozatem niech zostawi państwo troskę ubezpieczeniową inicjatywie prywatnej. Ta będzie w tym zakresie z pewnością najlepsza i najbardziej celowa. Ale z jednej i drugiej kategorji ubezpieczeń zniknąć winna zasada przymusu, upokarzająca dla nowoczesnego człowieka, bo traktująca go jak dziecko lub niewolnika, wypaczająca nieraz w praktyce charytatywny w istocie charakter instytucji i otwierająca szerokie pole — właśnie swym pierwiastkiem przymusu — do wszelkiego rodzaju nadużyć, leżących w słabostkach natury ludzkiej.

XVIII. W związku z tem wielokrotnem opodatkowaniem obywatela na rzecz różnych równoległych gałęzi tego samego w gruncie rzeczy aparatu państwowego (państwo, samorząd, dobrodziejstwa społeczne) stoi również kwestja wielokrotnego opodatkowania wogóle jednego i tego samego zy-

sku z pracy i wytwórczości obywatelskiej. Typowym tu przykładem jest opodatkowanie w różny sposób dochodu z przedsiębiorstwa akcyjnego. Dochód ten, nieraz i tak z wielkim trudem w ciężkich czasach osiągany, jest tak kruszony różnymi rodzajami podatków, poczynając od obrotowego, a kończąc na osobisto-dochodowym udziałowców i dodatkami kryzysowymi, że w ostatecznym rezultacie nawet przy dobrej dywidendzie tylko śmiesznie niski zysk netto udziałowcowi pozostaje. Więcej, niż lwią część, zagarnia fiskus pod różnymi pretekstami. A już szczytem nielogiczności jest dodatek kryzysowy. Zdawałoby się, że logiczną odpowiedzią na gniotący społeczeństwo kryzys winny być jakieś ulgi. Tymczasem nowoczesna logika skarbowa wymyśla właśnie podatek od kryzysu, czyli poprostu opodatkowanie nędzy. O tem nawet starożytnym Egipcjanom i Chińczykom, przy całej brutalności ówczesnego ściągania podatków, jednak się nie śniło. Do takich absurdów doszedł dopiero „oświecony" wiek XX-ty.

Stąd narzuca się teza: niewolno wielokrotnie obarczać świadczeniami tego samego owocu pracy ludzkiej.

XIX. W dalszym ciągu nasuwa się konieczność rewizji różnych drobniejszych, ale niemniej dotkliwych i nielogicznych opłat, które możnaby nazwać „podatkami od deficytu", albo jeszcze lepiej „opłatami parszywemi". Są to świadczenia, będące już oczywistym wynikiem przerostu fiskalizmu, który w zachłanności swej i bezradności penetruje wszędzie i obarcza już nawet nieraz ideową, bezinteresowną, materjalnie deficytową, ale z pewnych szlachetnych pobudek mimo to prowadzoną pracę ludzką. Do takich świadczeń należy np. stosunkowo dotkliwe opodatkowanie wydawnictw, z natury swej

deficytowych, drukowanych nieraz tylko jako stałe biuletyny dla informacji członków różnych zrzeszeń. Wygląda to tak, jakgdyby ojczyzna — macocha z chytrym grymasem na twarzy mówiła do swych ofiarnych pasierbów: „Skoro, jak widzę, macie środki na podtrzymanie ideowego, deficytowego wydawnictwa, to płaćcie za to!“.

Cały ten system myślenia i ujmowania problemów fiskalnych musi się skończyć, musi nastąpić wyzwolenie się z niego i odrodzenie, bo inaczej będzie źle, będzie coraz gorzej. A jeżeli ludzie nie zechcą uznać tej konieczności, jeżeli „system ustabilizowany“ nauki i mentalności fiskalnej uparcie dalej utrzymywać się będzie i żerować, to niewolno społeczeństwu i rządom skarżyć się na kryzys, bo widocznie sami go pragną i nie chcą na serjo poprawy.

Na miejsce zaś przerostu owego systemu, który celowość i dobrodziejstwa instytucji państwa zmienia stopniowo z wielu względów na przekleństwo, winny wstąpić i zyskać mocne podstawy konstytucyjne, społeczne i fiskalne dwa naturalne Prawa, dotąd coraz bardziej przez naukę i praktykę dla fikcyjnych lub demagogicznych względów kruszone, mianowicie:

XX. Prawo własności prywatnej, w zasadzie swej nienaruszalne i nie podlegające ewolucji, dyktowanej przemijającemi konjunkturami, oraz

XXI. Prawo do uczciwego zarobku.

Co do pierwszego, to kategorycznie przeciwstawiamy się twierdzeniu, wypowiadanemu wobec nas przy różnych okazjach przez wybitnych prawników, nawet konserwatywnych, iż prawo własności prywatnej nie da się w konstytucji państwa dokładnie sformułować i w pewnym, odpowiednim stopniu, jako podstawowa zasada moralno-ustrojowa,

spetryfikować. Twierdzenie takie jest nielogiczne, powoduje w najgłębszej istocie płynność i niepewność stosunków, wydaje państwo na typ wszelakich doktryn rewolucyjnych, a jest wynikiem li tylko świadomego lub podświadomego tchórzostwa i karygodnego oportunizmu. Wysuwany nieraz argument obawy przed t. zw. sądem wnuków, który mógłby zarzucić rządzącemu dzisiaj pokoleniu ewentualnie „wstecznictwo" za chęć mocnego sformułowania zasady prawa własności, uważamy za błędny nawskroś, zarówno z merytorycznego, jak i wychowawczego punktu widzenia. Prawodawcą obecny wyjść powinien bowiem z założenia, że nietylko nie należy uginać się przed obawą kaprysu wnuków, ale przeciwnie, należy wnukom tym dać mocną podstawę ideową i prawną i w tych zasadach ich wychowywać tak, aby uznawali mądry, zdeceydowany i logiczny autorytet starszego prawodawczego pokolenia.

Bo trzeba głębiej myśleć i rozumieć, że z chwilą rozluźnienia się pojęcia tego całego kompleksu moralnego i materjalnego, który człowiek na podstawie pewnego prawa przyrodzonego określa mianem „moje", następuje w nieuchronnej konsekwencji rozluźnienie także i państwowych fundamentów. Człowiek bowiem tworzy i podtrzymuje instytucje państwa instynktownie właśnie dlatego, aby mu zbiorową siłą broniła tego wszystkiego, co on ogólnem mianem jako swoją własność określa. Państwo więc, które w prawodawstwie i w praktyce nie spełnia tego naczelnego, instynktownego postulatu, traci w podświadomości, a potem i w świadomości ludzkiej swą główną rację bytu i przerasta w twór sztuczny, fikcyjny cel sam w sobie, który już tylko siłą i gwałtem, ale nie w przekonaniu ludzkiem się utrzymuje.

Co zaś do drugiego, to nie może być dzisiaj już chyba rozumnej dyskusji na temat, że postulat uczciwego zarobku, który powojenna demagogja napiętnowała jako antyspołeczną i antypaństwową zbrodnię i miażdżyła go nadmiernym fiskalizmem, progresją podatkową i różnymi innymi sposobami wrogiego interwencjonizmu państwowego, trzeba dzisiaj podnieść na piedestał państwowej zasługi. Wszak, logicznie biorąc, prywatne bogacenie się obywateli z uczciwej, twórczej pracy jest pod każdym względem wielką zasługą dla państwa, a zwłaszcza dla nowoczesnego państwa. Przecież nie ulega kwestji, że możliwie wydatny zarobek, uzyskiwany przez jednostki, daje trwałe oparcie zarówno finansom państwa, jak wszelkiej użytecznej, zbiorowej sprawie społecznej i zarazem wzmaga tężyznę społeczeństwa przez rozbudowanie przedsiębiorczości na każdem polu. Niechże więc państwo, w jakiejś dziwnej, samobójczej psychozie, nie zazdrości jednostce jak najobfitszego osobistego zarobku, oczywiście uczciwego, niech nie występuje wrogo przeciw niemu i nie miażdży go w demagogicznym porywie. Wszak, między innemi, sprawa zwalczenia bezrobocia w takiem państwie, jakiem jest Polska, bezwarunkowo nie leży na linji etatystycznych wysiłków rządu i przeciążania skarbu i społeczeństwa tworzeniem biurokratycznych ad hoc „funduszów", ale na linji bogacenia się jednostek i przedsiębiorstw prywatnych, gdyż one tylko mogą dać masom trwałe i lukratywne zatrudnienie. Nie „junaków" winien rząd tworzyć, ale wyższą prywatną zamożność w kraju.

Tymczasem nowoczesny etatyzm i fiskalizm robią rzeczy wprost niesamowite. Otacza się często opieką różne prywatne objawy i instytucje zachłanności ludzkiej, jak kartele i inne polipowate zrzesze-

nia, ciążące dotkliwie — pod szczytnemi hasła=mi normalizacji gospodarczej lub „rozwoju ruchu samopomocy“ — na i tak już fiskalizmem i kry=zysem nadwątlonem gospodarstwie prywatnem. Obarcza się ponad siły i stanowczo ponad rozumną rację stanu wszelką uczciwą pracę o najskromniej=szych dochodach jawnych i głodowych uposaże=niach, które więc fiskus może w cęgi swe łatwo po=chwycić — a tymczasem nieproduktywne bogactwo z nieokreślonych źródeł zdobywane w imię całkiem fałszywie pojętej „wolności handlowej“, żerując na=kształt raka na twórczem gospodarstwie krajowem, rozbija się po ulicach w luksusowych automobilach. Anarchiczna swoboda robienia najnieproduktyw=niejszych nieraz interesów, wykręcająca się sprytnie z przepisów podatkowych, panuje u nas w całej peł=ni. Cofa się przed nią bezradnie fiskus, bronią jej — w fałszywem zrozumieniu jakiejś dziwnej solidarno=ści zawodowej — wszystkie sfeery handlowe, nie czując, czy po doktrynersku nie chcąc uznać, że w tej właśnie nieograniczonej swobodzie wszelakie=go geszefciarstwa i pośrednictwa kryje się ich wróg największy.

Stanowczo więc odwrócić się musi opinja, dotąd panująca, na te wszystkie sprawy. Im jawniejszy za=robek, im uczciwszy, im łatwiej uchwytny, tem bar=dziej winien być przez państwo chroniony i popiera=ny. Inaczej znowu wszelkie wysiłki w kierunku sa=nacji gospodarczej, wzmożenia moralności i tężyzny obywatelskiej oraz realizacji hasła „wyścigu pracy“ wychodzą w praktyce na ironję. Jeżeli ma być wy=ścig pracy, to u mety tego wyścigu — jak przy każ=dym wyścigu — musi być materjalna premja. Wte=dy każdy obywatel stanie do wyścigu. Ale w dotych=czasowej sytuacji, jakże można ludzi do tego wyści=gu zachęcać, skoro widzą, że u mety czeka nie pre=

mja zarobkowa, ale chciwy fiskalizm państwowy, samorządowy i społeczny, który im lwią część zarobku odbiera?!

W takiej sytuacji — myśli sobie niejeden — korzystniej nie pracować uczciwie, nie stawać do wyścigu, ale robić wątpliwe, nieuchwytne interesy i przejechać koło mety z ironicznym uśmiechem lśniącym Packardem!

XXII. W reasumcji wszystkiego powyższego wysuwa się samo przez walne zagadnienie fiskalne: gdzie istnieje racjonalna granica rozmiaru świadczeń publicznych, której instytucje publiczne, uprawnione do nakładania świadczeń na obywateli, nie powinny przekraczać, za jedynym wyjątkiem ściągania zaległości, powstałych z subjektywnej winy płatnika?

Odpowiedź: granica ta leży tam, gdzie leżą fundamenty prawa własności prywatnej i prawa do uczciwego zarobku. Tych fundamentów nie wolno kruszyć państwu - ojczyźnie, za wspomnianym jedynym wyjątkiem, w interesie dobrze zrozumianej własnej racji stanu. W szczegółach niechże rozwiną i uzasadnią tę tezę fachowcy, ale o jej zasadniczej słuszności chyba nikt wątpić nie może. W każdym razie na niej tylko budować można materjalną potęgę państwa i na tej tylko platformie da się społeczeństwo uszykować na serjo do „wyścigu pracy".

Mowa tu oczywiście tylko o normalnych stosunkach w okresie pokoju, bo w czasie wojny wszystko musi być poświęcone jej celom. Wówczas ma prawo ojczyzna wszystkiego żądać od obywatela, bez żadnych granic. I w tej dziedzinie wysuwa się już w czasie gospodarki pokojowej ważna kwestja podtrzymywania warsztatów pracy, w zwykłych warunkach może mniej użytecznych, robiących wrażenie nadmiernej, niepotrzebnej wytwórczości, ale któ-

rych utrzymanie jest niezbędne w przewidywaniu potrzeb wojny.

Problem to jednak pozornie tylko zawiły, bo w rzeczywistości ta część gospodarstwa krajowego jest jednak w czasie pokoju w porównaniu z jego całością dość ograniczona. Ale i tu wspomaganie istnienia takich zakładów z funduszów, czy kredytów publicznych winno być bardzo starannie ograniczone, aby każde pierwsze lepsze przedsiębiorstwo prywatne nie chciało salwować swej bezużytecznej egzystencji wątpliwym motywem swej użyteczności wojskowej. Najlepiej zaś, aby państwo posiadało dla wszelakich celów wojskowych, bliższych lub dalszych, swe własne wytwórnie w określonych istotną potrzebą granicach i odcięło się pod tym względem możliwie od gospodarki prywatnej, którą i tak można zmobilizować każdego czasu na wypadek wojny.

---

Powyższe dwadzieścia dwie tezy oparte są na założeniu, które może stanowić

XXIII-ą tezę zasadniczą, że obecny i już od dawna istniejący chroniczny upadek życia gospodarczego nie ma nic wspólnego z prawdziwym kryzysem powojennym.

Ten bowiem wybuchnął zaraz po wojnie światowej i objawił się, w naturalnym porządku rzeczy, przedewszystkiem w niedostatku produkcji i zapasów wszelakich dóbr, oraz braku rąk roboczych. Ten właściwy kryzys — a więc przesilenie przejściowe w całem tego słowa znaczeniu — skończył się jednak dość szybko, bo w kilka lat po ukończeniu wojny. Obecny zaś, chroniczny upadek ma cechy wprost przeciwne: nadmiar produkcji, nadmiar rąk roboczych, a brak odpowiedniego zbytu. O tem, o tej kapitalnej różnicy między jednem a drugiem, nie wol-

no zapominać i nie wolno jednego z drugiem mieszać. Obecna niedola nie ma już nic wspólnego z wojną, ale jest wyłącznie wynikiem z jednej strony prolongowania w nowych warunkach powojennego świata przestarzałych już pojęć i dążeń ze strony prywatnych sfer gospodarczych, a z drugiej rozpanoszenia się demagogicznych i etatystycznych doktryn, djametrjalnie przeciwnych pewnym żelaznym prawom ekonomji, które w konsekwencji praw przyrody istnieją i zawsze niezmiennie obowiązywać będą.

I stąd pozorne ułatwianie sobie zadania przez naukowe lub fiskalistyczne składanie wszelkiej obecnej niedoli na karb wojny światowej jest z gruntu błędem. Przyczyn upadku szukać musimy znacznie bliżej.

A na zakończenie jeszcze XXIV-ta teza — przypadkiem dwudziesta czwarta, nie zaś jako wynik przesądnej premedytacji, aby właśnie w tej uświęconej liczbie tezy nasze zamknąć: życie gospodarcze nie jest czemś oderwanem od życia społeczno-politycznego, ale w nowoczesnym organiźmie państwowym jest jedno z drugiem nierozerwalnie związane. Argumentować szczegółowo tej tezy chyba już nie potrzeba, a wystarczy przytoczyć tylko dwa, wynikające z niej problemy i zarazem postulaty:

1) Sfery gospodarcze muszą nagiąć się do imperatywnych wymogów nowoczesnej epoki i częściowo odrywając się od swych bezpośrednich zajęć zawodowych, wziąć żywy, zbiorowy udział w sprawach publicznych i to nietylko tam, gdzie rozstrzygają się losy życia i ustawodawstwa gospodarczego, ale i w innych dziedzinach; wyjść muszą poza swe wąskie podwórko, rozszerzyć koniecznie swój horyzont obywatelski, zainteresować się innemi sprawa-

mi państwa, zrozumieć ich wpływ na życie gospodar-cze, a przez to wszystko przestać być dla państwa „wiecznymi petentami“, a stać się dla niego ze wzglę-dów nie gospodarczych czynnikiem potrzebnym, nie-zbędnym. Zarówno bowiem rolnik, kupiec lub prze-mysłowiec, poświęcający się w krótkowzrocznym egoiźmie wyłącznie tylko swym wąskim zajęciom za-wodowym, a odrzucający z niechęcią wszelką suge-stję swego udziału w sprawie publicznej, jak z dru-giej strony przedstawiciel w sejmie lub w senacie sfer gospodarczych, zajmujący się wyłącznie kwe-stjami gospodarczemi, zabiegający w gruncie rzeczy o interesy swych różnych mandatarjuszy ze sfer go-spodarczych, a wykazujący faktyczne désinteresse-ment do innych spraw państwowych i publicznych wogóle — to przedstawiciele przestarzałego, nieaktu-alnego już światopoglądu, który w nowoczesnych warunkach utrzymać się już nie da, spodziewanych rezultatów nie przyniesie, a tylko obniża poziom i autorytet sfer gospodarczych do obywateli niejako drugiego rzędu. Tak jest! Bo od obywatela pierw-szego rzędu, od obywatela w pełnem tego słowa zna-czeniu, ma prawo wymagać ojczyzna, aby intereso-wał się nietylko poziomemi sprawami własnej kie-szeni, choćby przyozdobionemi w sprytną fikcję zbiorową „gospodarstwa krajowego“ — ale także i innymi problemami i potrzebami państwa w zakre-sie kwestji ustrjowych, moralno-wychowawczych, społecznych, zagranicznych i t. d. Obywatel, zwła-szcza wykształcony obywatel, którego te sprawy nie interesują, jest w gruncie rzeczy geszefciarzem, choćby nawet zajmował wysokie stanowisko w hie-rarchji gospodarczej. Zniknąć więc musi ten dziwny jakiś, egoistyczny, antypaństwowy i antykulturalny w istocie przywilej, uzurpowany sobie przez sfery gospodarcze, w postaci prawa interesowania się wy-

łącznie sprawami swej kieszeni i zanudzania niemi całego świata, przy faktycznem lekceważeniu innych, równie ważnych, a nieraz może i ważniejszych od chwilowego stanu gospodarczego spraw publicznych.

Jest to tem ważniejsze, że sfery gospodarcze, zwłaszcza wyższe, zamożne, wykształcone, przedstawiają potencjonalnie ogromne dla państwa walory, których realizację mogą łatwiej poprzeć dużymi środkami, niż inne sfery zawodowe. Wystarczy nadmienić dla przykładu, jakie to krocie może zmobilizować w swej sferze ambitny przemysłowiec, gdy chce zostać posłem!

A tych walorów moralnych i materjalnych niewolno w nowoczesnem państwie marnować sferom gospodarczym egoistycznie i tylko na doraźne potrzeby swego interesu. Muszą zrozumieć, że chcąc mieć wpływ i znaczenie w państwie, trzeba stać się dla niego czynnikiem niezbędnym, a nie petentem. A niezbędnym czynnikiem mogą stać się wykształcone sfery gospodarcze przedewszystkiem na innych polach, nie na własnem podwórku. W ten sposób łatwiej uzyskać mogą coś i dla tego podwórka, a w dodatku wysokie stanowisko w społeczeństwie, które przenigdy zabieganiem koło własnych interesów uzyskać się nie da, ale tylko bezinteresowną pracą dla kraju.

Musi więc zaakcentować się wśród sfer gospodarczych, zarówno rolniczych, jak i przemysłowo-handlowych i bankowych, w obecnej dobie wyraźny podział na obywateli pierwszej kategorji i na „geszefciarzy". A linja tego automatycznego podziału biedz będzie całkiem inaczej, niż dawny, tylko na materjalnych stosunkach oparty podział na kupców pierwszej i drugiej gildji.

2) Przedstawiciele sfer gospodarczych mają jakiś tradycyjny, uświęcony zwyczaj występowania na wszelakich zebraniach, konferencjach i wogóle rozmowach z pretensjalnym frazesem, że oni są tylko rzecznikami „realnego i konkretnego" ujmowania i traktowania wszelkich spraw. Ilekroć przedstawiciel sfer gospodarczych zabierze głos w jakiejkolwiek sprawie, tylekroć wygłasza szumnie to twierdzenie.

Twierdzenie to, zawierające dużą dozę lekceważenia dla mentalności i zamierzeń innych sfer społeczeństwa, jest w gruncie rzeczy niezmiernie krótkowzroczne i niezgodne z rzeczywistością.

Czyż bowiem praca na roli, w przemyśle, w handlu i w finansach jest w obecnych warunkach istotnie na bardzo „realnych i konkretnych" oparta podstawach? Czyż raczej życie gospodarcze w obecnej dobie i wszelakie jego zamierzenia nie są w znacznej części bujaniem w obłokach i chimerach? Czy od owego, tak szumnie reklamującego się „detalicznego realizmu" ludzi gospodarczych, który pierwsza lepsza konjunktura, jeden podmuch wiatru w nicość rozwiać może, nie jest nieraz daleko „realniejszą i konkretniejszą" ogólna myśl programowa, wytaczająca wyraźne i mocne tory działania w różnych kierunkach pracy publicznej?

Tysiączne przykłady codzienne potwierdzają, że różne „realja" gospodarcze, różne odnośne rachuby, zamierzenia i detaliczne kombinacje rozwiewają się, jak mgła, pod słabem nawet tchnieniem rzeczywistości. Nie mają więc przedstawiciele sfer gospodarczych w zetknięciu z przedstawicielami innych zawodów żadnego uzasadnienia prawa, ani powodu chełpić się swym rzekomym realizmem. Życie gospodarcze jest dzisiaj częstokroć więcej fantazją, niż wiele innych spraw i zamierzeń. W tym względzie winno

więc również nastąpić odpowiednie uzdrowienie i zrównoważenie pojęć.

---

Oddając niniejszy elaborat, jako rezultat kilkoletnich studjów, obserwacji i możliwie objektywnego przemyślenia, pod rozwagę wszystkich czytelników Naszej Przyszłości i członków Związku Polskiej Myśli Państwowej, wnosimy go pod obrady plenarne Sekcji Gospodarczej Związku, której zadaniem będzie wysunięte przez nas w ogólnym zarysie tezy przedyskutować, poprawić, dokładniej i obszerniej sprecyzować i opracować na tej podstawie większy elaborat, jako oś i instrument szerokiej propagandy Związku na odcinku gospodarczym w ramach niniejszem ustalonych granic i celów.

Wrzesień, 1935.

Podkomisja Sekcji Gospodarczej
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

---

# ODPOWIEDŹ
## KS. PROF. DR. JEHLICZKI P. DOCENTOWI DR. J. GOŁĄBKOWI

Gdy przeczytałem odpowiedź p. Docenta Dra Gołąbka (Nasza Przyszłość, luty - marzec 1935) na mój artykuł „Quo vadis, Słowaczyzno?“ — przyszły mi na myśl słowa starca Izaaka: „Głos, coprawda, jest głos Jakubów, ale ręka jest ręką Izawa“.

Polak, p. Gołębek, używa przeciw mnie czeskiej metody, którą usiłuje dyskredytować moją *osobę*, gdy mu na *rzecz* brak argumentów. A do dyskredytowania mnie używa błędnych danych, podobnych tym, któremi Czesi zwykli przeciw mnie operować.

Dlatego stwierdzam, że nie byłem współpracownikiem czechofilskiego pisma „Hlas“, ale prawdą jest, że byłem zawsze najostrzejszym jego przeciwnikiem.

Nie jest prawdą, że pisywałem do czechofilskiej gazety „Slov. Dennik“, ale prawdą jest, że pisałem zawsze przeciw niej.

Nieprawdą jest, że wypowiedziałem się za państwem „czeskosłowackiem“, ale prawdą jest, że państwo to zawsze zwalczałem i zwalczam.

Nie jest prawdą, że zrobili mi Węgrzy „nęcącą propozycję objęcia biskupstwa w roku 1905“, a to nietylko dlatego, że biskupów nie Węgrzy mianują, ale Papież, lecz głównie dlatego, że miałem wtedy zaledwie dwadzieścia sześć lat, a jest to oczywiście wiek, niewystarczający dla biskupa.

Nie jest prawdą, że mnie Węgrzy „pozbawili katedry“, ale prawdą jest, że ja sam opuściłem z wła-

snej woli katedrę w Budapeszcie, aby objąć katedrę na uniwersytecie warszawskim.

Z przytoczonych w moim artykule dowodów i faktów, ani z mojego rozumowania p. docent Go=łąbek niczego nie obalił, o czem każdy, kogo rzecz interesuje, może przekonać się łatwo, porównując mój artykuł z jego odpowiedzią.

*Ks. Prof. Dr. Franciszek Jehliczka.*

---

Oddawszy w czterech tomach naszego wydaw=nictwa kolejno głos obu polemizującym uczonym, zamieszczając najpierw ich obszerne artykuły w sprawie słowackiej, a następnie dwa wzajemne oświadczenia natury osobistej, uważamy dyskusję tę na łamach naszego pisma za dostatecznie wyczer=paną i zamkniętą.

*Redakcja.*

---